



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XX Nr 7(227) Żelów, lipiec 2015

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Elżbiety Buczkowskiej, Zbigniewa Gordzieja, Teresy Januchty, Agnieszki Kostuch, Juraty Bogny Serafińskiej

Andrzej Dębkowski – *In vino veritas...*

Leszek Żuliński – *Mamy zoila!*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poezja pisana dialektyką miłości*

Stefan Jurkowski – *Karzeł na krzywych nóżkach*

Andrzej Bartyński – *Widzę problem*

Marek Jastrząb – *Po-ranne noce*

Andrzej Walter – *Sposób na orgazm*

Urszula M. Benka – *O podróży dwoistej*

Tomasz Misiewicz – *Benzedryna, czyli kłamać każdy może*

Joanna Friedrich – *Kobięcym okiem*

Robert Czop – *Surrealistyczna klasycyzacja w twórczości Zbigniewa Kresowatego*

Stefan Prociuk – *O kawie z samym sobą, Moja wiara, Ukochane twarze*

Emil Biela – *Strach czytać te wiersze oraz Rycerska księga błękitnokrzyżowców*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Noty

Kronika

Zapowiedzi

Opinie

Poglądy

Konkursy

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Konkursy

Konkurs im. Józefa Łobodowskiego

Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich ogłasza VII Edycję Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Ziemi Lubelskiej – im. Józefa Łobodowskiego.

Konkurs ma charakter otwarty. Mogą w nim wziąć udział autorzy zrzeszeni w związkach i stowarzyszeniach twórczych i niezrzeszeni.

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie zestawu 5 wierszy w czterech egzemplarzach. Wiersze nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane w innych konkursach.

Utwory muszą być opatrzone godłem. Do zestawów należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną tym samym godłem, zawierającą: imię i nazwisko autora, adres, numer telefonu i e-mail.

Szczególnie preferowane będą utwory podejmujące problematykę wschodniego pogranicza narodów i kultur.

Prace konkursowe należy nadsyłać do 30 września 2015 roku na adres: Związek Literatów Polskich, ul. Dolna Panny Marii 3, 20-010 Lublin, z dopiskiem VII Konkurs im. J. Łobodowskiego.

Ogłoszenie wyników Konkursu i wręczenie nagród odbędzie się 21 listopada 2015 roku, a o miejscu uroczystości poinformujemy zainteresowanych listownie i na stronie internetowej Lubelskiego Oddziału ZLP.

Przewidywane są nagrody pieniężne, których sponsorem jest Wydział Kultury Urzędu Miasta Lublin.

Udział w Konkursie jest równoznaczny z akceptacją regulaminu.

Nadesłane prace nie będą zwracane autorom.

Organizator zastrzega sobie prawo do publikacji nagrodzonych utworów.

Ogólnopolski Konkurs na reportaż im. Zbyszka Nosala „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”

Organizatorem konkursu jest Ośrodek Kulturalno-Historyczny BELDONEK – Pałac Wielopolskich w Chrobrzu i Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Witolda Gombrowicza w Kielcach.

Konkurs ma charakter otwarty. Do udziału zapraszamy profesjonalistów i amatorów gatunku. Uczestnicy konkursu przedstawiają teksty spełniające wymogi reportażu jako gatunku.

Do konkursu przyjmujemy wyłącznie reportaże wcześniej niepublikowane. Uczestnik konkursu może nadesłać tylko jedną pracę, która nie może przekraczać 10 stron tekstu znormalizowanego (1800 znaków na jednej stronie). Reportaż powinien być dostarczony w formie wydruku komputerowego w trzech egzemplarzach i równoległe na nośniku CD/DVD.

Prace należy dostarczać, bądź przesyłać pocztą, na adres: Ośrodek Kulturalno-Historyczny BELDONEK – Pałac Wielopolskich w Chrobrzu, ul. Parkowa 14, 28-425 Chroberz.

Do reportażu podpisanego godłem należy dołączyć zaklejoną, opatrzoną tym samym godłem kopertę, zawierającą dane autora, jego dokładny adres, nr telefonu lub adres e-mail.

Organizatorzy konkursu nie zwracają nadesłanych prac i zastrzegają sobie prawo do publiko-

wania w prasie i wydaniu książkowym nagrodzonych i wyróżnionych reportaży.

Przystąpienie do konkursu jest równoznaczne ze złożeniem oświadczenia, że utwór jest wynikiem twórczości osoby biorącej w nim udział i że prawa autorskie do utworu nie są niczym ograniczone.

Każdy z autorów wyraża zgodę na przetwarzanie przez Organizatora podanych danych osobowych dla celów konkursowych i marketingowych, stanowiące integralną część Regulaminu.

Przystępując do konkursu każdy z autorów oświadcza, że zapoznał się z treścią Regulaminu i akceptuje jego postanowienia.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa 31.08.2015 roku (decyduje data stempla pocztowego).

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone na stronie internetowej www.palac.chroberz.info.

Uroczyste zakończenie Konkursu, wręczenie nagród oraz promocja wydania książkowego nagrodzonych i wyróżnionych reportaży nastąpi jesienią 2015 roku.

O dokładnym terminie laureaci powiadomieni zostaną drogą pocztową

Prace ocenić będzie profesjonalne jury, którego skład podamy w późniejszym terminie.

Nagrody: I – 3 000 zł; II – 2 000 zł; III – 1 000 zł oraz trzy wyróżnienia po 500 zł.

Jury zastrzega sobie prawo do innego podziału nagród, który może być spowodowany poziomem nadesłanych prac.

Nagroda „Złotej Róży”

Już po raz drugi Kapituła Nagrody Literackiej im. Jarosława Zielińskiego „Złota Róża”, działająca przy Fundacji Arkona, ogłasza konkurs na najlepszy tom wierszy wydany w ubiegłym roku. Warunek jest tylko jeden. Poeta w chwili publikacji swojej książki nie może przekroczyć 41. roku życia. Poza nagrodą pieniężną autor otrzyma także pamiątkowy dyplom oraz obraz znanego malarza.

Poetyckie książki ubiegające się o nagrodę, wraz z adresem kontaktowym twórcy, prosimy nadsyłać do 15 lipca br. na adres: Stanisław Grabowski (sekretarz Kapituły), 02-785 Warszawa, ul. Koński Jar 2/27, tel. 691-458-087, e-mail: poezjaidziecko@op.pl. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w sierpniu br., a uroczyste wręczenie Nagrody „Złotej Róży” we wrześniu 2015 roku, o czym laureat zostanie powiadomiony.

Z kolei młodzi poeci w wieku 14-18 lat mogą ubiegać się o stypendium literackie w roku szkolnym 2015/16. Warunkiem jest nadesłanie własnych prac literackich (poezja lub proza) na adres jak wyżej. Tam także można uzyskać wszelkie informacje dotyczące konkursu i stypendiów.

X Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Rainera Marii Rilkego

...na zestaw pięciu wierszy w trzech egzemplarzach. Nadesłane wiersze nie mogą być publikowane i nagradzane w innych konkursach.

Profesjonalne jury przyzna: POETYCKĄ NAGRODĘ RAINERA MARII RILKEGO oraz nie mniej niż dwie nagrody drugiego stopnia. Laureaci otrzymują nagrody pieniężne (główna – 3.000 zł) ufundowane przez organizatorów i fundatorów (warunek – udział w gali festiwalowej, w przeciwnym razie nagroda pozostaje wyróżnieniem honorowym, a gratyfikacja pieniężna powiększy sumę

nagród w kolejnym Konkursie).

Konkurs ma charakter otwarty, bez ograniczeń wiekowych i wymagań tematycznych. Utwory należy opatrzyć godłem (słownym), a w zaklejonej kopercie, sygnowanej tym samym godłem, przesłać następujące dane: imię i nazwisko, dokładny adres zamieszkania, numer telefonu, e-mail. Honorowane będą tylko prace na papierze formatu A4, nadesłane w formie wydruku komputerowego bądź maszynopisu. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych utworów. Wyniki Konkursu zostaną opublikowane w prasie i internecie.

Przesłanie prac konkursowych oznacza zgodę autora na nieodpłatne wykorzystanie tekstów w prasie literackiej („Topos”), ewentualnie na stronach internetowych Organizatora oraz na gromadzenie i przetwarzanie danych osobowych uczestników do potrzeb konkursowych.

Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w październiku 2015 roku podczas Festiwalu Poezji w Sopocie. Laureaci zostaną zawiadomieni o terminie wręczenia minimum dwa tygodnie przed uroczystością.

Termin nadsyłania prac: 15 sierpnia 2015 roku. Adres: Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, ul. Czyżewskiego 12, 81-706 Sopot z dopiskiem na kopercie „Konkurs im. R. M. Rilkego”. Dodatkowe informacje: www.topos.com.pl; topos10@interia.pl.

I Złot Poetów i Grup Literackich z Województwa Łódzkiego

Bardzo proszę zadeklarujcie się czy będziecie chcieli wziąć udział w zlocie. 18-19 lipca 2015 roku na terenie Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 7 ul. Minska. Piszę projekt potrzebna mi ilość (mniej więcej) chętnych, dla których wyliczę choćby kielbaskę na ognisko. Deklaracje poproszę na mail: mtsdaq@gazeta.pl

W czerwcu będę zbierać teksty do almanachu i ewentualnie wpłaty na cele wydawnicze (20 zł), ale to jeszcze zobaczymy. W czasie spotkania sobota - przewidujemy warsztaty z zaproszonym poetą i z prozaikiem. Ognisko (z kielbaskami) oraz prezentację wszystkich, którzy zechcą przeczytać swoje teksty. W niedzielę konkurs jednego wiersza, „Fabryka snów w mieście Łódź”, ogłoszenie wyników konkursu i podsumowanie. Postaramy się o patronaty. Głównym organizatorem będzie Stolik Poetycki, Katamaran Literacki. A wszystko pod skrzydełkami Filii nr 15 Miejska Biblioteka Publiczna Łódź-Polesie i Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich.

Małgorzata Skwarek-Gałęzka



Rys. Barbara Medajska

Marek Jastrząb

Po-ranne noce (2)

Gazety

Orientacja, to grunt. Rozeznanie w tematach wygęganych przez media. Bo nie uchodzi być dyletantem. Publicystycznym warchołem. Trzeba wetknąć nos w prasę. Poznawać poglądy sprzeczne z naszymi. Należy bezustannie poszerzać swoje horyzonty.

Być poinformowanym i mieć zdanie. Sprawować nad nim kontrolę. Choćby było nieszczególnie, ale niech będzie własne.

Tak sobie dowodziłem zabierając się za lekturę codzienników (pozwoliłem sobie zostawić na weekend miesięczniki i pastewno-bulwarowe tygodniki).

Już pierwsze strony powiadały, że jest coraz lepiej, a za jakiś czas będzie cudownie. Informowały, że miasta pięknieją, rusztowania wznoszone są zgodnie z planem na ubiegły rok, a już wkrótce przybędzie mieszkań dla VIPów. Oświadczały, że transport stwarza coraz mniejsze zagrożenie dla korków, a autobusy i pociągi wyprzedzają rozkład jazdy. Do tryumfalnych artykułów o tym, co wkrótce będzie cacy, dołączyły rysunki obiektów znajdujących się w stanie ciągłego planowania oraz raporty z placu budowy świetlanego JUTRA. Lecz, że świat nie składa się wyłącznie z rautów i koronacji, dla równowagi, bym się za bardzo nie rozbestwił z optymizmem, zaserwowały mi raport o najświeższych masakrach i spodziewanej zapaści. Czego – nie precyzowały. Co w pewnym sensie nie kłóciło się z polityką informacyjnej rzetelności, ponieważ pozostawiono mi miejsce na własne przypuszczenia.

Obliczyłem, że sylabizowanie JEDNEJ, zajęło mi godzinę z kawalkiem.

Wyciągnąłem kalkulator i zacząłem cykać w guziczki.

Razem wypadły dwie krzesłogodziny na gazetę. Przy dobrych noszeniach, rzecz jasna. Poniekąd niewiele, ale przeczytać trzeba WSZYSTKIE, by nie posądzono mnie o nieznaną wstydlivych punktów widzenia. Pomnożyłem ilość gazet przez ilość godzin i otrzyawszy wynik, chwyciłem się za głowę, bo wymiarkowałem, że przy obecnej ilości tekstów, choćbym się wściekł, to za cholerę nie dam rady być na bieżąco. Nie udźwignę, bo czas przeznaczony na lekturę,

to węgier w porównaniu z następnymi godzinami, poświęconymi na dyspozycyjne zrozumienie artykułu.

Na dodatek musiałem przemnożyć przez pięć, bo tyle pism jest w moim Regionie. Wtedy okazało się, że spędziłem dniówkę na robocie głupiego. A to zaledwie prasa lokalna. Schody dopiero się zaczną przy opasłych tygodnikach, specjalistycznych miesięcznikach i kolorowym badzewiu zamieszczającym pogaduchy o czteroliterowej Maryni.

Wniosek? Żeby wiedzieć, co, gdzie, komu i jak piszczy w trawie, należy mieć sporo czasu na rozkurz, czyli być bezrobotnym.

Tyle że wtedy za co kupić te kilometry rewelacji?

Książki

Pewnik: pytania o sens i cel człowieczego bytu wyznaczają ludziom zasady postępowania. Człowiek A. dokonał odkrycia, że jest istotą społeczną, a jego uczynki wywierają wpływ na postępowanie pozostałych ludzi. Natomiast indywiduum B. zauważyło, że świat się zmienia, on zaś razem z nim. Z czego wynikała mu niesłychana prawda, że zupełnie inne są „techniki” opisywania dzisiejszych galopad, a odmienne, gdy przychodzi mu tułać się po wspomnieniach. Albowiem dysponuje rozróżnialnymi środkami wyrazu. A one moderowane są przez czas.

Styl T. Manna nie nadaje się do dzisiejszego odzwierciedlenia zdarzeń, nastrojów i przeżyć. Jest to spowodowane przez ów czas: nie ma go tyle, co wtedy, gdy pisarz prowadził nas przez killkutomowy ocean perypetii bohaterów. Rozparci w wygodnym fotelu, ze szklanką herbaty, albo sączący kropelkę czegoś mocniejszego, zasluchani w odgłosy kominka, lewitowaliśmy po fabule razem z wszechwiedzącym autorem. Powoli, leniwie, bez pośpiechu, smakowaliśmy niezłą prozę, wiedząc, że w każdej chwili możemy powrócić do fragmentów, nad którymi przysnęło się nam krzyżę. Lecz jak strawić Manna dziś, w tramwaju, w kolejce po zasiłek, w biegu po zadyszke? Przy czym zdajemy sobie sprawę, że przeczytaliśmy ledwie jedną powieść, no a żeby uchodzić za „totalnie” odczytanego i wypowiadać się na temat Jego twórczości, musimy znać większość z nich, o ile nie wszystkie.

Ale to zaledwie prolog nieszczeńć, bo na naszej drodze pojawiają się utwory Bunina, Tolstoja, Hugo, Zoli. Nie mówiąc o Wojdow-

skim, Dąbrowskiej, Kuncewiczowej.

Tyle do zaznajomienia się, przeczytania, zrozumienia, narzekamy.

A to przecież psi obowiązek człowieka chcącego cokolwiek wiedzieć o literaturze. Zaś jeszcze większy - dla pragnącego pisać. Skąd wziąć na to wszystko czas? Od tamtej pory wzrosła nie tylko liczba ludzi, ale i wzrosły hektary informacji. Nowinek, ciekawostek, zdarzeń wpędzających nas w euforię, czkawkę rozmyślań, czy zgałę popłochu! Jest ich teraz tak wiele, że nie nadążamy z kartowaniem, a co dopiero z ich analizą. Każdego dnia otrzymujemy ich coraz więcej. I niektóre są ważne, a nawet istotne. Należy wiedzieć o nich jak najwięcej. Gruntownie, do ostatniego wióra, z dookolnymi detalami. Lecz trzeba przeczytać wszystkie, bo dopiero po szczegółowej lekturze można oddzielić ziarna od plew i perłę od wieprza. A wszystko po to, by nie wyjść na umysłowego ordynusa.

Henryk Sienkiewicz

Istnieją pisarze podobnego formatu. Jednak kiedy ich czytam, nie odczuwam żadnych palpacji serca. A gdy wracam do jego książek, słyszę w pamięci słowa o Polsce, która, kiedy kona, trzeba jej wyszarpnąć poduszkę spod głowy, iżby się nie męczyła. Znam do teraz powiedzonka pana Zagłoby, leciwego franta pełnego wigoru, dowcipu, conceptów i nadzwyczajnych facecji, korpulentnego szlachciury z dziurą w herbie, sercem na dłoni i bielmem na oku. Widzę księcia Bogusława, dumnego, zmanierowanego, zawzięcie i daremnie emablującego pannę Olenkę.

Czytam o Kmicicowej przemianie ze zdrajcy, awanturnika, zabijaki, w opatrnościowego męża, patriotę cieszącego się powszechnym szacunkiem. Buczę wtedy jak syrena z Mniszkowa i nie mogę wyjść z zdziwienia, że ja, okrzepły w lekturach wszelkiego pokroju, obyty w sylabizowaniu książek z różnych nadań, reaguję niczym wypacykowana pudernica na rockowym koncercie.

Jakoś nie wadzą mi jego kreatywne mniemania na temat patriotyzmu Wiśniowieckiego i nacjonalistyczne ciągoty *W pustyni i w puszczy*, co tak sumiennie wypunktował mu Bolesław Prus. A nie przeszkadzają, gdyż

(Dokończenie na stronie 4)

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

jestem zaślepiony i jak to z oczadziały mi bywa, nie widzę niczego poza swoim kochaniem.

Wiem, nie jest to zaleta; bezkrytycznie poruszam się i krążę dookoła swojej miłości jak koń w kieracie. Z kłapami na oczach, przytroczony do uwielbienia, którego nie mogę rozwikłać, słucham głosów z oddalających się wspomnień. Słyszę też dzisiejsze, a kiedy jedno i drugie nakładają się na siebie, powstaje we mnie chaos, mętlik wzajemnie sprzecznych ocen.

Pierwsze, należące do moich wspomnień, każą mi wciąż lubować się w jego Trylogii, ze wzruszeniem śledzić wydarzenia, podążać za Zagłobą i jego skomplikowaną naturą: raz widzieć w nim warchoła zdolnego do wszczynania burd, zawołanego kolorystę, chodzący bukłak, mistrza nieprawdopodobnych opowieści zmyślonych na poczekaniu, pod wpływem chwili, to, dla odmiany, w wyniku gry emocji, zależnie od opisywanej sytuacji – postrzegać go odważnym, sprytnym, bogatym w fortele szlachcicem, na którym można polegać.

Drugie, przynależne teraźniejszości, sądzą Sienkiewicza surowo: z bandyckim okrucieństwem i zajadłą dezynwolturą. Przedstawiają jako niestrawnego nudziarza i żarliwego moralizatora. Co mnie boli, gdyż w miarę szukania przyczyn tak krzywdzących opinii, uświadamiam sobie ich źródło. I pojmuję, że sprawcą jest wymoczkowaty, skundlony duch naszych czasów niezdolny pojąć, w jakich warunkach dzieła te powstawały i czemu miały służyć.

To, że autor Trylogii jest mistrzem sugestywnego opisu, niezrównanym i doskonałym słowiarzem, wiadomo. U Sienkiewicza wszystko jest zrozumiałe, bliskie i nic mi nie przeszkadza. Ani naciągane poglądy na Historię, ani gloryfikacja poslušności kobiet względem mężczyzn, ani pochwały drobno-mieszczan z gatunku Połanieckiego. Ważny jest cel: wszczępienie narodowi otuchy, przekonania, że nie ma takiej opresji, z której nie można wyjść obronną ręką i z podniesionym czołem.

Co postać, to rys, zbiorowisko cech przedstawianej nacji, odłamu społeczeństwa, to powieściopisarki zapis odautorskich, niezwykle celnie rzuconych na papier spostrzeżeń. Obraz złożony z charakterystycznych figur, batalistycznych scen i malunków przyrody opisany brawurowo śmigłym piórem: lekko i potocznie, ze znanstwem psychologicznych podszewek.

Książki pisane przez niego są FAMILIJNE. Przeznaczone do czytania w gronie

rodzinnym. Poczawszy od starców ogrzewających kości w ogniu reminiscencji, a na małolatach pod nieistniejącym wąsem skończywszy.

Każdy wiek miał z nich swoje satysfakcje. Starzy – umiłowanie Ojczyzny, nadzieję i pokrzepienie serc, wiarę w odrodzenie i ziszczenie marzeń, młodzi – bitwy, galopady i dziewiętnastowieczne westerny. A że teraz rodzina jest w rozsypce i widzi się ją w komplecie tylko podczas ślubów i pogrzebów, że ceremonia czytania na głos należy do sporadycznych wydarzeń, nieobytemu w historii odbiorcy Sienkiewicza, koleśowi przysposobionemu do powierzchownych i nietrudnych przeżyć, szwankuje wyobraźnia i płaczą się synapsy; edukowany na jego powieściach, rozumie wyrazy takie jak honor i miłość do kraju – inaczej, niż współcześnie.

Trylogię pisał w odcinkach. Kiedy w warszawskim Słowie i krakowskim Czasie ukazywał się nowy fragment Ogniem i mieczem, w domach rozpoczynała się impreza pod przestarzałym wezwaniem WSPÓLNA LEKTURA. Gazeta była jedna, a amatorów poznania powieści – wielu, więc, by uniknąć wyrwania jej sobie, cała rodzina siadała przy stole i głowa rodu robiła za lektora. A reszta piła mu z warg. Zaciekawiona, przejęta, z wypiekami na twarzach, brała udział w przegodach swoich bohaterów, dzielnego zawadiaki Kmicica, nieszczęśliwego Bohuna, Pana Wołodjowskiego o sercu ze złota i szabli jak śmierć.

Nieznani mu ludzie wysyłali błagalne listy, by nie uśmiercał Longinusa Podbipięty. Z odcinka na odcinek rosła więc popularność pisarza i otoczony był coraz większą estymą. W Zbarażu nazwano jego nazwiskiem jedną z ulic. Anonimowy admirał twórczości Pana Henryka przekazał mu sporą sumę (15 tys. rubli), z której to sumy powstało stypendium przeznaczone artystom zmagającym się z gruźlicą (skorzystali z niego min. Konopnicka i Wyspiański).

Obyczaj wspólnego czytania zdechł razem z uwięciem międzyludzkich więzi. Rodziny wielopokoleniowe i rodzinne życie zostało zastąpione przez telewizyjnie czy komputerowe pierepalki. Jesteśmy już nie sami sami, ale sami obcy; zaganiani rodzice nie rozmawiają z dziećmi, dzieci nie rozmawiają z rodzicami.

Brat nie brat, siostra nie siostra, bliscy niegdyś, teraz są dla siebie skwaszonymi rywalami. Wrogo do siebie nastawionymi przeciwnikami lub przeciwniczkami. Zagrożeniem w truchcie do michy, apanaży i kasy. Sienkiewicza pokonał galopujący duch czasu; jego przebogaty język – zwłaszcza staropolszczyzna – jest dla obecnego czytelnika za skomplikowany, za passe. A to drażni, prowokuje do wzgardliwego odrzucenia utworu. Skwitowania go wyniosłym rżeniem.

Zdania pełne stylistycznych figur i mistrzowskich porównań, są za długie, za bardzo złożone: szybko męczą zblazowane oko

nawykle do braku koncentracji. Lektura dłuższa, niż paruminutowa, wywala uczucia zniechęcenia i bezradności, uniemożliwia skupienie i wytrwanie w podążaniu za myślą autora; z tego to powodu dzieła Sienkiewicza przechodzą do literackiej kanciapły z przestarzonymi cymesami.

Wokulski, Bela i Papić

Wychowany na lekturach Mickiewiczów, nie umiał odnaleźć się w świecie pragmatycznym i wykastrowanym z empatii; to poezja wysublimowanych piedestałów, na których umieszczono kobiety, poezja romantyczna w wydaniu polskim, zdominowana przez wizerunek bóstwa do abstrakcyjnego kochania, kobiety wiotkiej i uduchowionej, kobiety o kształtach anioła, kobiety, do której można tylko wdychać, wielbić ją i tęsknić, stała się przyczyną jego klęski, a pozorem zwycięstwa Izabeli Łęckiej. Literatura westchnień, nakazująca mężczyznom manifestowanie sztucznych afektów, podniosłych i historyczno-lżawych nastrojów, wyrządzała im więcej szkody, niż przynosiła pożytku. Człobitne i nabożne traktowanie kobiet uniemożliwiała im dokonywanie trafnego wyboru, gdyż w myśl obowiązującej reguły, wszystkie kobiety były IDEALAMI; niezależnie od przywar, których im nie brakowało, należało je czcić.

Lecz nie tylko mężczyźni poddawali się czarom romantycznej poezji. Ofiarami jej czytania były również kobiety. Im także wmówiono wyjątkowość; one też żyły w mylnym przeświadczeniu, że są doskonałe.

Panna Izabela, produkt zakłamania, hipokryzji i przekonania o wyższości szlacheckiego pochodzenia nad pogardzanym stanem kupieckim, również tęskniła za miłością. Za pięknym księciem z pięknej bajki. Z tym, że jej wygórowane oczekiwania i nierealne nadzieje na miłość, zawężone były do kasty, w której przebywała.

Inne nie wchodziły w grę. Spokrewniona z arystokracją, przyzwyczajona do bywania na wielkopańskich salonach, próżna, manieryczna, snobka i estetka, wyobrażała sobie, że jest dobrą partią, podczas gdy w istocie należała do rodu nieposażnego. Nosząc dumną główkę powyżej kapryśnego nosa, traktowała imię Wokulskiego i zaloty jego jak niechciane konkury sklepikarza, przykre urozmaicenia nudy w dni wolne od przyjęć lub teatralnych wizyt.

Mówiła, że był liczykrupą, a równocześnie – zakompleksionym neurotykiem bawiącym się w Pana Boga. Zarzucała mu, że jest dorobkiewiczem; kupcem o prymitywnej strukturze moralnej.

Marek Jastrzęb

MNIJ WIĘCEJ (125)



Foto: Zofia Mikula

Mamy zoila!

Ta książka ma dla mnie posmak „legendarny”. Była zapowiadana od dwóch, trzech lat – i uporczywie nie ukazywała się. W końcu się doczekałem! To „Poradnik grafomana” Lecha M. Jakóba. Wydawca informuje: „Poradnik grafomana” złożony jest z trzech części: trzydziestu felietonów literackich, oryginalnych cytatów poetyckich, wpadek i z żartobliwie pomyślanego słowniczka „przypadłości i bóli pisarzy”, na który składa się blisko dwieście haseł. Zawarte tu teksty powstały w latach 1999-2014, częściowo publikowane były w „Laterni Morskiej”, „Łabuziu”, „Raptularzu Kołobrzeskim” i „Twórczości”.

LESZEK ŻULIŃSKI

Nie mogła ta książka znaleźć sobie lepszego autora. Jakób to osobnik sarkastyczny, z lekka złośliwy, marudny i autorytarny. Jedyne, co łagodzi jego szewską pasję, to poczucie humoru. Choć jeśli ktoś znajdzie w tej książce cytat z samego siebie, to będzie ów humor kwestionował. Z góry współczuję ofiarom tej lektury.

No więc tak... Te felietony opatrzone są wspólnym tytułem *Piórem i batem*. Istna *silva rerum*. Zoil wyszukał sobie tematy, których zozydzeniem nas molestuje. Co nie znaczy, że te tematy są błahe. Sęk w tym, że szanujący się grafoman w bzdurę obróci wszystko lub skopsa każdy problem. Tak więc felieton po felietonie Zoil poucza grafomanów żmudnie, na jakiej wysokości muszą sobie postawić poprzeczkę i w jakie wnyki nie powinni wpaść. A to, że aforyzm musi być perfekcyjny, aby złapał swój poziom, a to, że alkohol nie wspomaga procesu twórczego (no, ryzykowna teza!), a to, że tzw. autorytety to typy często samozwańcze i przereklamowane. Wszystko w porządku alfabetycznym. A więc po hasłach zaczynających się na literkę „A”, idzie objaśnianie „Bestselleru”, „Cenzury”,

„Debiutu”, „Humoru”, „Korupcji”, „Matołkowatości”, „Symboli”, „Wiersza” i „Wpadki”. Zacytowałem tu tylko niektóre haselka, ale Autor alfabet objaśnień i przestroż wyczerpał skrupulatnie. Wyszło z tego solidne pouczenie. Sztubak zamierzający zostać pisarzem ma jak znalazł opisy pojęć, terminów, gatunków, pułapek i sensów, w których gdy się solidnie nie połapie, to pisząc nie będzie wiedział, że źle pisze. Innymi słowy: jeśli chcesz przekroczyć próg literatury, to musisz mieć o niej jakieś pojęcie.

Szczególnie uwiodła mnie taka oto filipika Zoila odnosząca się do terminu „Poetwo”. Oto dłuższy cytat: *Z grubsza wiemy czego się trzymać, gdy trafia w nas poezja. Rozpoznajemy ją bez specjalnej wiedzy. Bo wiedza i precyzyjne narzędzia opisu literackich form potrzebne są fachowcom. Tak zwany przeciętny odbiorca polega na intuicji. Zawierza – i słusznie – wrażeniu, emocji. Na ogół guzik go obchodzi technika, warsztat. Obcy jest mu chłodny ogląd. Łaknie przeżycia lub tylko – by tak rzecz – duchowego rozkołysania. Jednym słowem, odbiorca, sięgając po poezję, zawiera cichą umowę z dostarczycielem tejże. Umowę opartą na wierze, iż otrzyma „produkt” dobrej jakości, najlepiej oryginalny. Dzieło, które wdrze się do wnętrza, rozsiewając poczucie obcowania z czymś wysokim, a przynajmniej twórczo rzetelnym. Lecz łaknienie obcowania z poezją u większości odbiorców bywa tak silne, że zanika elementarny krytycyzm. I to właśnie jest wodą na młyn poetwa. Raj niedopoeetów.*

Moim zdaniem, szanujący się grafoman niewiele z wyjaśnień i porad Jakóba skorzysta. Bo szanujący się grafoman wie swoje i wie lepiej. Pisze w uniesieniu, w namaszczeniu chwili, w gorączce sakralnej, w dyktacie własnej dumy. Nie będzie go jakiś mądrala pouczał, co i jak. W felietonie pt. *Symbole mamy poniekąd objaśnienie niereformalności grafomanów: Brać pisarska za symbol swojej profesji uznała pióro. Właśnie jeden z kolegów po piórze, któremu ostatnią książkę przetrzepano niepoehlebnyymi recenzjami, oświadczył w przystępie smutku, że symbolem krytyka literackiego jest woreczek żółciowy.*

Hm, są to sprawy delikatne... No bo jak powiedzieć grafomanowi, że jest grafomanem? Jakób i tak stara się bardzo o nieprzekraczanie grubej kreski. Wyjaśnia, tłumaczy, poucza – raczej bez żółci. Próbuje wykładu scjentyficzno, tzn. sięga do „argumentów literaturoznawczych”. Pamiętam, jak u początków własnej drogi poetyckiej zachwyciłem się wierszem następującym: *wyszłem na podwórze, / spojrzalem ku górze, / dech zatkało mi w piersi, / to oni, skowronki, przylecieli pierwsi.* Ktoś mnie za ten zachwyt obśmiał i mało brakowało, że zostałem – tfu! – inżynierem, farmaceutą albo księgowym. Nasz zoil raczej jak matka tłumaczy, że tak byłoby lepiej, a tak gorzej. Niemniej upieram się przy swoim: jego potencjalni studenci to narybek trudny i uparty. No i w ogóle przynajmy

jedno: utalentowanemu autorowi wiedza polonistyczna zbędną jest. Na tajemnicę talentu wzoru ani recepty nie ma. Lecz do „boskiego palca” nasz zoil się nie odwołuje. Ja bym się chyba odwołał.

Czasami zoil walczy z wiatrakami. Przekonuje na przykład adeptów, że żaden komputer nie zastąpi pióra. Tu widać jak na dłoni, że tak jak młodzi poeci nie nadążają za kunstem starych poetów, tak ci starzy są przestarzali. Ja co najmniej od 20 lat nie używam ani pióra, ani długopisu, a li tylko klawiatury i myszki. Świat się zmienia. I strach pomyśleć, że *poradnik grafomana* napisany za pół wieku będzie zupełnie inny niż ten Jakóbowy. Wszakże jedno jest wieczne: talent to talent, a dobry utwór to dobry utwór.

W kolejnej części książki Jakób cytuje tzw. „wpadki poetyckie”. Innymi słowy mamy przykłady grafomaństwa czystej wody. Np.: *Kula, a może strzała w tym amoku / zatrzymała się w pół kroku* albo: *ostrzy wierchołek serca – sterczy lodem z mych ust* albo: *marszczy ziarenka piasku / bezdech kipieli dnia*. Strach pomyśleć, czy autor nie poszedł za daleko, bo a nuż grafomani przyjmą te cytaty za znakomite?

Książkę zamyka rozdziałik *Przypadłości i bóle pisarzy, czyli słowniczek*. Przeczytajcie więc na koniec kilka pouczających wyimków...

Wyimki z Jakóbowego słowniczka:

fanga – ukryta lub jawna aluzja w dziele literackim do nielubianego kolegi po piórze lub koleżanki po lirze

gęsina – stada gąsek i gąsiorków literackich skubiących trawkę na łąkach twórców powszechnie poważanych

hydlizm – wyłapywanie błakających się (rzekomo bezpieczeństwa) utworów lub pojedynczych fraz i przerabianie ich na własne – z dużą dbałością o zatarcie śladów

kanon – osobnik tyleż zasadniczy, co apodyktyczny, nieznoszący jakiegokolwiek sprzeciwu, surowy, w obronie swoich racji potrafi się pieniść, a nawet pluć

migracja – błądzenie w utworze (często po omacku) od stylu do stylu

pulpa – jeden i ten sam surowiec literacki, służący do obrabiania w kółko pod rozmaitymi kątami

rdza – złogi pisarskich zawiści

żniwo – tzw. koszenie nagród jak leci w rozmaitych konkursach literackich (lecz głównie poetyckich, bo tych w kraju najwięcej)

Lech M. Jakób, *Poradnik grafomana*. Wydawnictwo Forma, Szczecin 2015, s. 150.



Jurata Bogna Serafińska

W czasoprzestrzeni

Jesteśmy tutaj
W czasoprzestrzeni,
Czy w czasie pętli?

Jesteśmy zatem,
Czy to oznacza
Przepływ energii?

Jesteśmy w mroku,
Jesteśmy w blasku,
Tylko przez chwilę...

Co dla nas znaczy
Interwał czasu –
Przestrzeń omyłek?

Na marginesie dnia

Ile razy próbuję
zrobić coś dobrego
słyszę cichy rechot
i widzę coś na kształt
diabłodziwnych rogów.

A wyniki działań
stają się odwrotnie
proporcjonalne do
zamierzonych intencji.

Cykl ten powtarza się
Jak zaprogramowany,
A ja notuję ten fakt
Na marginesie dnia.

Piasek pustyni

Mówię do Ciebie
I czuję, że masz
Wiele tożsamości.

Kim więc jesteś TY,
Nie będący mną,
Lecz moim NIEJA?

Mówię do Ciebie
I wraca do mnie
Echo moich słów...

Ile na szali
Bogini Amat
Zaważy słowo TY?
Czy więcej niż piórko?

Znaki, szyfry, ślady,
Piasek pustyni
Mojego imperium...

Wczoraj

Pytasz mnie
kiedy masz
przyjść...

Więc przyjdź
do mnie
wczoraj.

Paradoks żółwia

Już wieki całe
I dłuższą chwilę
Trwa ten paradoks
Żółwia, co biegnie
I nie jest w tyle
Za Achillesem.

Czy wiele trzeba?
Ach, tylko tyle
By zdefiniować
I zmierzyć chwilę.
A żółw już wtedy
Przegra z kretesem.

Elżbieta Buczowska

Meteora

Wśród jałowych skał i tłustych drzewek
oliwnych
rodzi się nowy wawóz.
W blasku helleńskiego słońca
widzę rozpiętą nad nim linę.
To nasza trasa.

Nie wystarczy nam
morski rozmach miłości,
zatapianie głębią turkus
w martwy bezruch bursztyanu.

Każdy krok na linie wymaga
decyzji, trzeźwości i odwagi.
W rozpadlinie u szczytu wawozu
czuwa skała
zwana Palcem Bożym.

List otwarty

Czy wiesz, o czym ja mówię?
Całe życie wiedziałem o istnieniu Drugiej
Strony.

Wiedziałem, że ja do niej należę.
Nie spieszyłem się z niczym,
uciec od niej i tak było niemożliwością.
Więc spokojnie uczyłem się patrzeć.
Otwierałem się, pozwalając
by przedzierała się przez moje wnętrze.
Ona była moim przeznaczeniem.

Z biegiem czasu zacząłem przeczuwać ją we
wszystkim:
w deszczu, słońcu, kawie i papierosach.
Ale ona była czymś więcej, ona była głębiej.
Była jak oryginał przeświecający przez
reprodukcję,
oczyszczający ją z nadmiaru farby.
Nie rzeczy i idee,
bo prawda tworzy pełnię.
W końcu nadszedł moment przejrzystości:
usłyszałem muzykę sfer.
Stałem się przyjmującym światło,
przezroczystym.
Ona była moim wyborem.

Po drugiej stronie

Gdy ta, którą pieścił przez dziewięć miesięcy
stała przed Giottem naga i nazbyt
skończona
prześlizgnął się wzrokiem po jej białych
ramionach
twardych piersiach i łonie brzemiennym
za sprawą jego dłuta
ukrył twarz w cieniu ironii
i wyszedł szukać doskonałości

Gdy dotarł do portu
ujrzał liguryjski kolor morza
Jego zdziwienie odbijało się w chmurze
Pragnąc być całkiem nieskazitelnym
zapomniał o istnieniu barw
Piana morska była słona
a niebo burzowe
Pierwszy raz przyszło mu do głowy
że cierpienie może być twórcze

Wiatr prowadził go ślimaczą drogą
Nie widział tych
którzy byli tam przed nim
Artyści ducha, Jan Chrzciciel
Gałęzie euforycznie głosiły chwałę
Postać z drzewa wyciągnęła do niego rękę

Gdy wrócił do pracowni
zobaczył piękno

Nowe Przymierze

Niebna zasłona Przybytku
z mądrozarych skór delfinich
czasem barwi się purpurą
tam gdzie Oholiab nie sięga

Haftowana gołębiami
pęka w godzinie ciemności
duchy zstępują by wstąpić
po drabinie Jego żeber



Elżbieta Buczkowska

Po drugiej stronie

Gdy ta, którą pieścił przez dziewięć miesięcy
stanęła przed Giottem naga i nazbyt
skończona
prześlizgnął się wzrokiem po jej białych
ramionach
twardych piersiach i łonie brzemiennym
za sprawą jego dłuta
ukrył twarz w cieniu ironii
i wyszedł szukać doskonałości

Gdy dotarł do portu
ujrzał liguryjski kolor morza
Jego zdziwienie odbijało się w chmurze
Pragnąc być całkiem nieskazitelnym
zapomniał o istnieniu barw
Piana morska była słona
a niebo burzowe
Pierwszy raz przyszło mu do głowy
że cierpienie może być twórcze

Wiatr prowadził go ślimaczą drogą
Nie widział tych
którzy byli tam przed nim
Artyści ducha, Jan Chrzciciel
Gałęzie euforycznie głosiły chwałę
Postać z drzewa wyciągnęła do niego rękę

Gdy wrócił do pracowni
zobaczył piękno

Agnieszka Kostuch

Człowiek z sadu

Zdzisławowi Antolskiemu

Wybiegł za białą kartką papieru
(w nadziei na nieśmiertelność)
z sadu rodzącego zdrowe owoce
do puszczy miejskiego chaosu
pełnej robaczywek

zapijał je bezskutecznie

kartkę pokryły plamy wymiocin krwi
rozczarowania –
więc tak wygląda
człowiek dorosły
człowiek świadomy
odkryta tajemnica
rozdarta zasłona

i kiedy wyrzucał kartkę do kosza
z półki spadł poźółkły wiersz Twardowskiego –
trzeba nic nie mieć
żeby wrócić

w sadzie czekał ojciec z pszczołami –
wiesz że przeciętnie żyją około miesiąca
nie grymaszą o wieczność

same ją tworzą

i podał synowi
brulion pachnący miodem

Wyznanie Dziadka

Moje życie miało
smak cierpkiego wina
przyszło w zamknięte ramiona ojca
które wcześniej straciłem z oczu
przez lata pocieszając się szczodrze
towarzystwem wódki

Moja śmierć miała
smak etanolu
przyszła z zapachem olejnych farb
które przeprowadziły mnie szybko
na drugi brzeg do
życia wolnego
od knajp melin zadawania krzywdy
koszmarne bólu głowy
sumienia

Wiem
moja śmierć mogła mieć smak
życia moich wnuków
nie znam go

patrzę jak rosną
z drugiego brzegu
proszę dla nich o życie
o smaku poziomek

Teresa Januchta

Renoir maluje nagą kobietę

modelka wydaje ciało na spojrzenia
krągłe piersi spod rozpiętej bluzki
fallowanie ciała aksamitne cienie
światło pulsujące miriadami drobnych
odcieni

pod półprzezroczystą skórą
artysta wybiera te
które pozwolą żyć tej kobiecie na płótnie
i drgać mrowiem tęczyowych płamek
pieści pędzlem miąższ pośladek
wydobywa zwierzęcą boskość dziewczyny
zagarnia w zaborczą sieć kresek i płam
przywłaszczając sobie sekret jej istoty
który swą tajemnicę zawdzięcza jedynie
światłu

na płótnie stanie się nieśmiertelna
i budzić będzie przelotny dreszcz pożądania
radość życia silniejsza od bólu i cierpień
w słonecznych barwach aktu

Renoir zapada w noc

Już późno Czas na spoczynek
To był dobry dzień

Martwa natura z jabłkami może też odpocząć
zanim Duża Luiza jutro znów umieści pędzel
w unieruchomionych reumatyzmem palcach
Lecz opowieść lekarza o polowaniu pobudza
wyobraźnię

Te dwa bekasy... Dajcie mi paletę...

Przekręćcie w lewo głowę bekasa...
Majaczenie przechodzi w sen w którym
mistrz nie przestaje malować
Ostatnie pociągnięcia pędzla i dzieło okrywa
się nigdy nie odkrytą tajemnicą Nie trafi do
kolekcji Durand Ruela ani do muzeum
w Luwrze

Północ jest uspokojeniem

Zbigniew Gordziej

Terazniejszość

1.
Skąpa w sukcesy
przepełniona porażkami
podsuwa Prozac
kokainę
sznur z pętlą
rękojeść pistoletu
Zdani na bagno dni
nie zauważamy gwiazd

2.
bogata kromką chleba
pierwszymi krokami synów
szumną rozmową drzew
dobrym rytmem serca
uściskiem dłoni sąsiada
W naszym zasięgu skok
przez lustro czarnej kałuży

3.
chcemy w niej być
instynkt trwania silny
pozwala omijać przeszkody
Na czarnej kresce dnia
wytycza drogę trawersu
po spadziźnie życia
Szczeliny zabezpiecza
poręczną wyobraźnią
Terazniejszość ważniejsza
od przeszłości
ostrzega
przed wątpliwym błyskiem
jutra



Andrzej Walter

Sposób na orgazm

Jedną z największych tajemnic Wszechświata jest kobieca dusza. Choroba polegająca na jej zgłębianiu jest nieuleczalna i jako taka może podlegać bacznej obserwacji, jednak owa dolegliwość będzie niezmiennie trwała już do kresu naszych dni. Cóż począć kiedy z pełną odpowiedzialnością sam mogę zaświadczyć, że zgłębianie tego fenomenu stanowi nie lada przyjemność i jest źródłem szczerzej fascynacji, która nigdy nie znika. Może też dostarczyć wielu wartościowych życiowo nauk oraz bezprecedensowych lekcji, nie mówiąc o całym bagażu bogactwa refleksji. Słowem, jakże nudny byłby świat bez kobiet, a w zasadzie mógłby stracić jakikolwiek sens.

Znamiennym jest więc fakt, że w świętej przestrzeni Teatru na afiszu są obecnie w Krakowie dwa spektakle dotyczące tej materii. Jedną z nich jest sztuka Chorwata Miro Gavrana – „Wszystko o kobietach” w tłumaczeniu Anny Tuszyńskiej i reżyserii Pawła Szumca adaptowana przez Teatr Ludowy na Scenie Pod Ratuszem. Drugą natomiast spektakl Teatru Słowackiego wystawiony w niesamowitej przestrzeni Małopolskiego Ogrodu Sztuki zatytułowany „Za chwilę – cztery sposoby na życie i jeden na śmierć” – to z kolei dramat Duńczyka Petera Asmusena w przekładzie Elżbiety Frączak-Nowotny i reżyserii Iwony Kempy.

Oświadczę na wstępie, aby nie stwarzać żadnych wątpliwości. Obydwa przedstawienia są znakomite. Świetnie wyreżyserowane, brawurowo wręcz zagrane i przynoszą nam potężną dawkę teatru na najwyższym światowym poziomie.

Jednak po obejrzeniu tych spektakli w dość krótkiej rozpiętości czasu widz powinien zapytać – czy kobiety od siebie się aż tak różnią? To niesłychane...

Otóż łączy te dramaty oraz ich interpretację fakt być może najważniejszy, że napisali je właśnie Panowie, mężczyźni z krwi i kości – a do tego jeszcze napisali to dobrze: budzą te spektakle podziw, fascynują, zadają pytania – bardzo ważne pytania. Poza tym, w odczuciu widza, który nasycony sztuką opuszcza teatr – **różni je niemal wszystko**. Nie wiem czy stanowi to przepaść, barierę, czy tylko dysonans, ale odnosi się wrażenie, że mówiliśmy o innych kobietach, z innego świata, z innej planety wręcz, czy nawet z innego wszechświata. I znamiennym jest fakt, że te kobiety zostały pokazane w bardzo podobnych sytuacjach, stanach i z podobnymi problemami do rozwiązania. Zapewniam też – drodzy Panowie! Przedstawienia są jak najbardziej

nie tylko dla kobiet, a może nawet zwłaszcza, dla mężczyzn... Choć kobiety, jak zauważyłem, znakomicie się na nich bawią (nie wszystkie gwoili sprawiedliwości dziejowej), to mężczyźni spod maski ogromnej koncentracji też odkrywają: a to odrobinę rozbawienia, a to okruczeństwa wyrzutu sumienia, a to moc pytań, które zadają sobie przecież przez całe życie.

Skąd zatem ta różnica? Skąd odmienność? Skąd ta dojmująca obcość: ukazanych światów, rozważań nad duszami, namiętnościami i przypadkami? Otóż narracje opowieści toczą się diametralnie gdzie indziej. Źródłem zgrzytu są, tak sądzą, postacie Autorów oraz ich własne obserwacje czy doświadczenia. I finalnie – pokazane są inne kobiety. Kobiety niby te same, ale to Kobiety Północy i kobiety Południa. Czy w zglobalizowanym świecie możemy w ogóle dopuścić taki anachroniczny podział? Czy w przestrzeni narzucanego gender możemy rozważać różnice cywilizacyjne, kulturowe i tradycyjne? Okazuje się, że tak. Co zatem tak naprawdę dzieli powiedzmy kobietę skandynawską od kobiety – nazwijmy to – środkowoeuropejskiej? Odpowiedź brzmi – wszystko. Wszystko i nic zarazem. Bowiem sfera wrażliwości, uczuć i namiętności jest taka sama. Jednak sfera spojrzenia na mężczyzn wydaje się być już inną... Za tym idzie cały korowód złudnych „wyzwoleń”, który jako taki, pokryty jest patyną świata w krzywym zwierciadle. Dotyczy to, rzecz jasna wizji skandynawskiej, w której powiedzmy lapidarnie – zło czai się wszędzie. Ów negatywizm wciąga widza bez żadnego parasola ochronnego. Pokazuje, jak to się dzieje, że nasze damsko-męskie drogi uczuć się rozchodzą. Tyle, że one się wcale nie rozchodzą. To właśnie daje nam – być może nawet w nadmiarze – Chorwat, Miro Gavran, który zdaje się mówić: pomimo wszystko – Kochajmy się. Twórca bałkański dokłada do swojej wizji spektakl bliźniaczy zatytułowany „Wszystko o mężczyznach” (równie znakomity) i jako taki stanowi on komplementarne dopełnienie naszego świata. A to przecież świat zarówno kobiet jak i mężczyzn, świat skomplikowany, niejednorodny, świat, którego twórcy fałszywych ideologii z rodowodem marksistowskim chcą nas prawnie i jawnie pozbawić. Tylko po co? Sądzą, że przestaniemy być kobietami i mężczyznami i w swej dobranej / wybranej (niepotrzebne skreślić) uniseksualności będziemy „szczęśliwsi”? Bzdura. Bujda jakiejś świat dotąd nie widział. I dlatego warto pokusić się o obejrzenie wszystkich tych dramatów.

W „Za chwilę, cztery sposoby na życie i

jeden na śmierć” mamy naszkicowaną kobietę tragiczną, która w zetknięciu z „męskim” światem rozpada się na tysiące okruchów, skrawków nie do poskładania, nie do podniesienia. Jej porażka jest gorzka, smakuje wywalczoną wolnością za zbyt wygórowaną cenę. Przemijanie przynosi może upragniony spokój, lecz jest on chropowaty, obcy i zbyt ciężki do udźwignięcia. Prawidła natury są karykaturalne. Receptą jest być może nowy wspaniały świat, ale chyba tak do końca nie da się go stworzyć. Dramat Asmusena jest tu bodaj otwarty – jest przestrożą na miarę społeczeństwa zamkniętego, klaustrofobicznego, które wytworzyło już nowe, zgubne i wylansowane wzorce postępu i teraz po prostu zbiera jego zatrute owoce. Choć jest w tym dramacie, jak sądzą, duża doza dowolności interpretacji i to chyba stanowi największą siłę tej sztuki. Odwrotnie z kolei – Miro Gavran proponuje nam terapię przez śmiech i łzy, ale nie podpowiada w żadnym momencie, tak naprawdę, czy jest to terapia właściwa. Pokazuje życie, sceny, przełomy, sytuacje i każe nam samym wyciągać wnioski. Moja uwaga oscyluje jednak przy większej realności owych wydarzeń wobec naszego, polskiego doświadczenia. I wydaje się, że treściowo i mentalnie Gavran pokazuje nam świat obok nas. Może to jednak tylko złudzenie? Może ten świat się jednak zmienia, ewoluuje na naszych oczach i i deformuje w kierunku świata Asmusena?

Peter Asmusen ostrzega nas bardzo przejmująco: „Lata mijają, a ja wciąż uciekam od mojego nic”... To dramat bogaty w konteksty. Asmusen jest jednym z najciekawszych współczesnych pisarzy duńskich. Publiczności kinowej znany jest przede wszystkim ze współautorstwa scenariusza głośnego filmu Larsa von Triera – „Przełamując fale”. Jednak jest też autorem wierszy, powieści, a nawet operowego libretta. Tekst duńskiego pisarza dał szansę stworzenia wyjątkowych aktorskich kreacji.

Łukasz Maciejewski w swej recenzji „Zobaczcie nas, kobiety. Jesteśmy” w „Polska Gazeta Krakowska (z 03.12.2012) ujął to tak: *Gwiazdy Teatru im. Słowackiego skorzystały z niej (z szansy stworzenia aktorskich kreacji) w stu procentach. Bożena Adamek od lat nie miała tak świetnego materiału aktorskiego, Dominika Bednarczyk po raz kolejny udowodnia, jakim jest klejnotem, Anna Tomaszewska z wirtuozerią przechodzi od tonacji serio do buffo, świetne są także Dorota Godzić i Marta Konarska. Zbiorowy występ pań nie jest zestawem przepisów na życie ani reme-*

dium na umieranie. Kobięca narracja jest tylko i aż świadectwem skrajnych emocji uśmierających nieznośną lekkość bytu. Być może stanie się również ważną lekcją dla facetów siedzących po drugiej stronie sceny. (...)

Dzięki dwubiegunowej narracji, spektakl nie przestając poruszać, również bawi. Aż do przejmującego finału, kiedy prawda sceny staje się prawdą życia, a aktorki- zdejmując maski postaci scenicznych - stają przed nami bezbronnie i zawstydzone, mówią: *To wszystko prawda. Zobaczcie nas, kobiety. Jesteśmy. Czasami przez was płacemy.*

W moim odczuciu to spektakl wstrząsający. Tyle, że do bólu nieprawdziwy. Po prostu nie jest aż tak źle. Być może jeszcze, a być może w ogóle. Nie przychylił się jednak do opinii innych recenzentów, że „to istne studium kobiecej psychiki, człowiek składa się z upokorzeń i kompromitacji, a podejmowane przez niego próby ocalenia kończą się gestami na pokaz, słowami po nic. W tym teatrze śmierć zdaje się wygrywać z miłością i wiarą, a gorycz i beznadzieja narasta nieustannie.” To nie jest przecież, ba, być nie może, prawdziwy opis życia i świata. To obraz zdeformowany i trzeba mieć odwagę to napisać, wyartykułować i wyrazić. Jednak jako studium pewnej szczególnej atmosfery, jako sygnał ostrzegawczy, przestroga czy może zwrócenie uwagi na możliwość pewnych wydarzeń to jednak strzał w dziesiątkę dla refleksji nad sytuacją współczesnego człowieka. Obojętnie czy jest kobietą, czy też mężczyzną. Zatem nie jest to studium li tylko kobiecej psychiki. I być nie może. W ramach dowodu, w ramach koncepcji tych rozważań radzę wybrać się na „Wszystko o kobietach”. (oraz „Wszystko o mężczyznach” jako lekturę nadobowiązkową). Miał słuszność zatem Starszy Pan, wsączając w usta Kaliny Jędrusik tę wiekopomną frazę:

*Lecz gdy ofiarę
mą trawię żarem
to wyznać muszę,
że choć me ciało
ją opętało –*

To oprócz ciała mam przecież i duszę.

I chyba warto w tę duszę spojrzeć. Objawia się wówczas oceany tajemnic, huragany emocji i fale doznań, zupełnie inne niż te, ukazane w „Za chwilę, cztery sposoby na życie i jeden na śmierć”. Objawia się jeszcze dwa inne sposoby na życie i kilka innych na śmierć. Z zastrzeżeniem, że zarówno Asmusen jak i Gavran powiedzieli ważne rzeczy, dotknęli istotnych aspektów: duszy, ciała i wszystkiego co pomiędzy. Czy jest jednak jakaś przestrzeń pomiędzy? Czy musimy ją wciąż stwarzać i jakby odtwarzać na nowo, a nazwać to możemy przecież choćby: emocjami, namiętnościami czy doznaniem wyższymi, ważniejszymi niż tylko jednostronne oglądanie samego ciała, bądź też samej, na-

zbyt dziś samotnej duszy? Otóż możemy godzić przeciwności. Zespalając doświadczenia i wnikając w samo sedno wypadkowego chaosu. Możemy tu przywołać kilka zdań z recenzji Magdy Urbańskiej z Dziennika Teatralnego Krakowa:

Ostatnio, w dobie czasów płodnych do dyskusji na tematy gender, zaistniała moda na filmy i przedstawienia, mówiące o walce między kobietami i mężczyznami, w której reżyser staje po jednej ze stron barykady. "Wszystko o kobietach" w reżyserii Pawła Szumca, choć z jednej strony, wpisuje się w tę tematykę, skupia się jednak na czym innym. Pokazuje skomplikowany świat kobiecych relacji, uczuć, nie unikając niezłej rozrywki, jak i głębszej refleksji czy psychologii.

Dużą zasługę przypisać trzeba tekstowi. Dramat Miro Gavrana w przekładzie Anny Tuszyńskiej to studium o kobiecości. Tekst jest niezwykle dowcipny, a ilość zabawnych dialogów, opowieści i ripost, wymienianych między bohaterkami, powodowała niekiedy taki entuzjizm widzów, że aktorki musiały przeczekać, aż śmiech czy brawa na sali ucichną. Gavran ukazuje kobiety, w których każdy znajdzie coś z siebie. Są skryte, otwarte, zaborcze, namiętne, młode, stare. To przekrój przez losy i charaktery, przy którym nie sposób się nie śmiać i wzruszać. W widzach, tak jak w bohaterkach przedstawienia - wszystkie te emocje występują jednocześnie.

Trzy aktorki (w tych rolach świetne Marta Bizoń, Magdalena Nieć, Beata Schimscheiner) grają różne kobiety. Są to dzieci w przedszkolu, kobiety w domu starości, matki, żony, kochanki. Przeżywają życiowe kryzysy, nawiązują przyjaźnie, wygłupiają się. Są to kobiety z krwi i kości, które starają się z życia brać tyle, ile można. A życie to i śmiech, i łzy, radości i porażki. Ciekawym sposobem było ukazanie relacji kobiet, a jednocześnie poszczególnych scen. Choć tak naprawdę każda z nich jest odmienna i powinna być traktowana indywidualnie, to wszystkie w jakiś sposób się łączą, współgrają. Reżyser, opowiadając osobiste historie, pokazuje świat kobiet, który możemy traktować uniwersalnie.

Pomimo faktu, że tekst iskrzy od śmiechu i zabawy, nie jest to teatr bulwarowy. Równie ważne i ciekawe są sceny poważne, gdzie bohaterki rozwiązują swe życiowe konflikty, zaczynają rozumieć, a niekiedy dorastać do relacji ze sobą nawzajem czy rodziną, uczą się samodzielności. Intrygujący jest relatywizm przedstawienia postaci. Żadna z kobiet nie jest jednoznacznie dobra czy zła. Żadna nie jest niewinna, ale żadnej też nie można odmówić psychologii postępowania. Bohaterki są bardzo emocjonalne, odkrywają różne strony swej osobowości, przez co widz może łatwo się z postacią utożsamić. Jednak nikt nie ma tu monopolu na prawdę. Reżyser porusza się na tym polu jak wnikliwy psycholog, snując opowieść o kobiecej duszy i jej tożsamości.

Recenzja Magdy Urbańskiej nosi zna-

mienny tytuł – „Psychologiczny orgazm”. W dobie powszechnego prawa do orgazmu tradycyjnego, ta estetyczna, czy wręcz eschatologiczna prowokacja oddaje w pełni nasz stan posiadania. To jakby niechciane pogubienie wzorców, relacji, norm i najprostszej zwyczajności. Tej zwyczajności, w której kobieta jest kobietą, a mężczyzna mężczyzną. Kwestionowanie tych prawd jest błazenadą, a wprowadzanie, krok po kroku w imię dziwnie pojętego postępu, zaburzeń odwiecznych zasad prowadzi właśnie do smutnego i szokującego obrazu Petera Asmusena. Chyba jednak pomimo skłaniania się do którejkolwiek z opcji widzenia szklanki (do połowy pustej, czy też w połowie zapełnionej) potrzebujemy obydwu wizji, aby wkroczyć w normalność. Terapia wstrząsem jest jedną z możliwości. Obyśmy tylko nie zgubili tego, co najprawdziwsze i najcenniejsze. Prawa do bycia i pozostania tajemnicą. Prawa do miłości – tej najprawdziwszej, nieokiełznanej, nienazwanej chemią, nie zdeformowanej tak zwaną rolą społeczną i nie spiętej kagańcem nowej poprawności sądu czy oceny. Niech kobiety w każdej ze swych męskich ról, jak i mężczyźni w każdej z ról kobiecych zawsze pozostaną sobą, niech uwypuklają dobre i piękne strony swej natury, a my, ohydne samce, pamiętajmy zawsze o rycerskości. Wtedy, jak sądzę świat pozostanie normalny. Po obejrzeniu obydwu spektakli wciąż w to wierzę, wciąż wierzę, że nadal mamy na to szanse, że nadal żyć możemy w świecie damsko-męskim, a nie jakimś sztucznym uniwersum, w którym najważniejszym jest tylko sposób na orgazm.

Andrzej Walter



Rys. Barbara Medajska

Urszula M. Benka

O podróży dwoistej

Każdy pozostawia w przestrzeni inne ślady – ta dedykacja w ofiarowanym mi zbioru wierszy i miniatur Lesława Wolaka utrafiła bodaj w sam rdzeń liryki.

Zostawiać ślady to oczyszczać albo kłaść, wzmacniać albo tłumić. Zawsze deformować. Poezja oczywiście deformuje naskórkowo, jeśli jest tylko czytana. Muzyka w niej tkwi, odróżnia od mowy. I dzięki muzyce zapisuje się ona w tkankach bez porównania głębiej. Jeśli zaś poruszamy się, tańczymy – następuje swoista *epidemia*, czyli wtargnięcie w te warstwy odbioru sztuki, gdzie pojęcie piękna niewiele zachowa wspólnego z estetyką rozumianą i konstytuowaną filozoficznie, ogarnia bowiem unerwione ciało. Ciało drży, rozgrzewa się lub studzi. Dlaczego o tym piszę?

Bo tomik Wolaka oddał wydarzenie dla niego nieznośne, wydarzenie nie do pogodzenia z codziennością. Podróż na Bliski Wschód. Starożytni nazywali te regiony Lidią, Cylicją, Licją, Anatolią, Karią, Kapadocją – widząc w nich macicę własnych bóstw. Nie ma tam doprawdy wzgórek ani źródeł, które nie było boskie, samo przez się. Stąd też biegły szlaki Dionizosa, Kybele, Persefony a nawet Europy, księżniczki Tyru. Nawet Jezusa wszak.

Ku mojemu przejęciu, każdy krok po tej impregnowanej sakralnością ziemi odciska się, odbija na kartkach Wolaka, w wierszach, poetyckiej prozie (jakby smakował z niepewnością zmiany sensu) a nawet akwarelach – rezonuje jak w instrumentcie. Uderzenia o struny, o pudło... *Choćbyś nie znał źródeł deszczu, wszystko się wypełni Las uderzy palcami o klawisze przestrzeni i poruszy wiatr. To, co przeminęło, nie wydaje się prostsze, choć przetrwa w pamięci. To, co nieuchronnie nadchodzi, odlicza cień stojącego na polanie modrzewia. Stwórca pajęczyny dzwoni szczękoczułkami na powitanie. Tańcząc, śpiewa zalotną pieśń. (...) Po drugiej stronie na kruchej krawędzi staje panna młoda i wolno zbliża się do środka. Dwa pajęczce serca biją w miłosnym uniesieniu. Kiedy oblubienica pożera partnera, słońce lśni na widnokręgu, wykrwawia się i gaśnie.* [***, s. 8]

Ja mam odruch wołać: Wolak Mainomenos, Oszałały! Pijany podróżą, mąci historyczne koleje tutejszej – znowu przecież złowieszczco pieniącej się – sakralności.

Podróż Wolaka przypadła na czas przed inwazją Państwa Islamskiego, ale zarodniki baobabów (że przywołam *Małego Księcia*

Antoine'a de Saint-Exupéry) były już tam ukorzenie. Już ziarno gnilo; takie przeraźliwe ziarno gniją długo, a nawóz sypiemy im my, Europa, przede wszystkim ignorancją swoją i pustką.

Tam zresztą już wiele razy baobaby zwalały się pod ciosami swoich następców oraz ortodoksji. Stąd ruiny. Przywrócić Bliskiemu Wschodowi jego prawdziwą twarz? Ale którą? *Warstwa po warstwie układają się kregi cywilizacji [Efez]*. Doskonale zachowane ułamki, fragmenty i kikuty, restaurowane i rekonstruowane, zmuszają częstokroć do absurdałnego wyboru pomiędzy tożsamością antyczną a bizantyjską, rzymską, hellenistyczną i muzułmańską, asyryjską (wszak nazwa Syrii idzie od Asyrii), scytyjską albo celtycką, no i turecką, by pomiąć już idiotycznie złożony i ukolumionny pseudoantyk XIX i XX wieczy z kolonialnych dzielnic Damaszku, Kairu, Aleppo (a z kolei pierwszy król Grecji niepodległej, Bawar, planował ateński akropol zniwelować, aby zastąpić nowoczesnym pałacem).

Nie trzeba ani śmieszności, ani wojny. Tam, gdzie pokój trwa nadal, wyburza się co lichsze budynki w lokalnym stylu i w ich miejsce wznosi betonowo-szklane „drapacze chmur”. W rozpalonym powietrzu jak fatamorgany przenikają się obrazy do bólu rzeczywistych kiedyś „warstw”. A wraz z nimi kłęby piasku: *...Popatrz, oto źródła piasku budzą się i świecą złowrogo pod gałęzią słońca. Nowo narodzone ziarenko toczy się niby młyńskie koło. Zacierą nasze ślady.* [Piasek]

Pustynia zalega tu blisko, bliźniutko. Dowolnie rozumiana. O tak, przykładowa choćby Galacja! Wsławiona Listem apostoła Pawła do Galatów, pierwszych nawróconych nie-Żydów, była resztówką imperium-efemerydy, któremu dopiero Pergamon nie dał się wymordować, raczej już wynagrodził jedną z najcudowniejszych rzeźb świata, *Galem umierającym* dłuta Antygonosa, chlubą dzisiaj rzymskiego muzeum Kapitolu, podczas gdy po monumentalnych budowlach pergamońskiego Eumenesa II pozostały jedynie zarysy... Galaci byli rodakami Asterixa. Europejczycy! Z Galii zwalili się lawiną, spustoszyli po drodze Grecję rabując najdosłojniejsze świątynie; spod Delf przegnał ich dopiero Apollon śnieżycą w środku lata i dzikim śmiechem siostry swojej, Artemis Wrzeszczącej. Dali przykład krzyżowcom.

Religie więc tutaj się beftały jak w kotle

wiedźmy, w pewnych okresach pozostając (ot, jeszcze z rok-dwa temu) w stanie ukojenia albo też hibernacji, dzięki czemu możliwa jest obecna tragedia i zagłada jazydów, żydów, chrześcijan, muzułmanów niepożądanego obrządku, nestorian oraz agnostyków.

Skąd ta Wolaka mistyczna wrażliwość, aż po przecucie ulotności tego co „wieczne”?

Podejrzewam: ma górskie wędrownicze doświadczenie. Góry – sam wpisuje motto z Eliota – czynią człowieka wolnym. Góry, a nie miasto, jak w niemieckim przysłowiu. Zawoła litanijnie, puentując „Efez”: *Góro wolności – módl się za nami. Lecz w Efezie wolności górą jest Dziewica-Matka (Dzika Matka!), Artemida, a po niej Wniebowzięta (tu właśnie) Maryja, Theotokos, rozkosz Kościoła.* Archetyp kobiecości?

Górski łągęga po prostu mimowiednie wyczuwa mgły, wichury, kurniawy, zdarzało mu się trafić po zmroku do schroniska, ma zatem szósty zmysł, a najbliższe mu Sudety – że sięgnę po Henryka Wańka, śląskiego Borgesa, *Hermesa w Górach Śląskich* lub po *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca* (pokazane zresztą i malarsko) – obnażyły swoje tajemnicze kotły znaczeń, swoje hieroglify, zawiloci losów osiedlonych tu nacji, nacji wędrownych, nacji umarłych, także religii szalejących jak husyci w XIV wieku, jak kult Wodza w wieku XX (już tytuł *Podróży mistycznej* zawiera w nazwie Oświęcim obóz Auschwitz-Birkenau).

Wreszcie, mają Sudety, owszem, godne wzmianki demony oraz powiązania z Olimpem.

U Wolaka instrumenty są powściągliwsze, nie aż tak zróżnicowane. Przedstawia impresyjne miniatury kierowane gdzieś – podejrzewam – ku gwiazdom, i nadające się do szeptania nocą. Po obu stronach „kosmosu” między Sudetami i Tarsem *O poranku rzeki świata wypływają zza widnokręgu. Chmury suną po niebie niby syte foki. Czarny kot pręży się na balustradzie wyblonej latarni morskiej.* [***, s. 35].

Na obu biegunach leży się w lekkim śnie, z odległego o tysiąc kilometrów miasta z szybkością myśli przychodzą esemesy. Słowa pożądania przesuują się na cienkim ekranie twojego *Samsung Galaxy Note* [***, s. 34].

Byłby to więc symultanicznie kosmos rozpęknięty i scalony, całkowity i podwójny. Acz nie bliźniaczy, bo w obu połowach

krążą krople krwi obcej, w obydwu uwierają i popiskują zaskakująco inne idee. Nawet Hermes (zwany przez starożytnych Dobrym Pasterzem) jest nie ten sam. Młodzieńczy i kojący patron kupców, złodziei i dusz z Bliskiego Wschodu, na Śląsku okazuje się aniołem, potem alchemikiem, potem znów putto, upupionym aniołkiem jak w barokowej eksplozji Wambierzyc, i niezadługo tetrycznym patronem umysłów, poszukujących w imię Rozumu zamkniętego systemu, szczelnie zamkniętego, pełnego pychy Leibniza. Tu, na Śląsku, mędrzec z Efezu zamienia się w intelektualistę.

A jednak w jednym i drugim świecie góry wydzwignęło pożądanie. Sam Eros! Sudecki mit powiada o nieodwzajemnionej miłości demona do księżniczki świdnickiej: kiedy mu uciekła, z wściekłości ciskał głazami, wydrapywał pazurami kanion Kamieńczyka oraz to, co my dzisiaj określamy jako... runy ślązańskie. Zamorskim dziwiom rzadziej udawało się umknąć. Gniły jak Persefona w trupich objęciach Hadesa lub, owszem, ostawały się niepokalanymi Theotokai, by, odetchnąwszy, mściwie rozszarpać dopadniętych mężczyzn. Tak czyniły menady radosne Dionizosa, tak czyniła Kybele, tak rzymska, z Frygii przywieziona, Magna Mater, wskutek czego mężczyźni stali się tutaj wobec kobiet nieufni. Skoro zwierzęce samice rozszarpały samego Zeusa? Skoro wykastrowały Adonisa i uspiły Endymiona? Mężczyźni tutaj nakładają kobietom czarczaf na cudną twarz. W opisie miłości cielesnej pajaka Wolak dał wyraz podobnej trwodze. Co próbuje złagodzić: ktokolwiek uchyli zasłonę i spojrzysz w oczy, ujrzysz błysk konającej w przestrzeni Supernowej. Miłość.

Tu i tu z wiosną lub jesienią gromadnie przystają wędrownie ptaki. Na resztkach, w gruncie rzeczy, gór pierwotnych. Góry stały się kamieniołomami. Po części znikły, przestoczone w wielkomięski bruk, w granitowe fasady urzędów, w porfiry nagrobków, no i marmury, olśniewające marmury Hierapolis, Antiochii, Halikarnasu. My, jak ptaki, mijamy tu i tam mnóstwo miejsc, których świętość, magiczność, morderczość, heroiczną już do nas nie przemawia. Zresztą, turysta patrzy coraz rzadziej. Zbyt pospiesznie używa fotograficznego aparatu, zbyt wpatrzony w laptop i smartfon, zaabsorbowany posiłkami, pływaniem w odgródzonej od tubylców szkatule basenu, zakupami na koniec, podczas których oferują mu znane już marki. Inna rzecz – supermarkety po obu stronach Morza Śródziemnego miewają nazwę „Hermes”.

Wanek powiedziałby w tej ze wszech miar zabawnej sytuacji: Hermes jest bogiem-symbolem, w którym skupiają się tropy jego zamiłowań oraz skłonność do wędrowania. Emblematy Hermesa nie tylko zachęcają do rozszerzania przestrzeni, ale także spinają czas współczesny z minionym,

a więc zachęcają do zadomowienia się w kulturze dawnej, niedawnej i nadchodzącej, jako całości, bo Hermes jest nadzwyczaj pojemnym archetypem i istnieje w niezliczonych wcieleniach.

Wolak temu z całego serca przytakuje w miniaturce „Krawędź”: *Prawie wszystko jest nieokreślone. Prawie wszystko ponad nami. Gdyby nie śpiew wiatru, skąd poznałbyś kierunek? Światło wycieka i sączy się w szarość. Wiatr kołysze bladym cieniem drzew i poszerza przestrzeń. (...) Pragnąłbyś, żeby uniosły cię spojrzenia wybranych, ich braterskie hymny? To ona [krawędź – UMB] przechowuje noc, która rozplywa się w konturze okna o świtanie. Kto ją przekroczy, kto założy pancierz? Kto przybędzie w obłoku? Na końcu tunelu rozbłyśnie wiara.*

Tytuły takie, jak Czarna dziura, jak Niepojęte przejścia, Brama, dotyczą metasensów Cezarei równie dobrze jak Jakuszcyc nad Szklarską Porębą, u zbiegu Karkonoszy i Gór Izerskich.

Są czepane z podróży wyczuwalnie erotycznej, cały czas powiązanej z Nią, obecną bez znaczenia, czy widzialnie, czy niewidzialnie, obecną na obydwu biegunach. Może sama jest tą szczeliną? Gdyby dopuścić tę myśl, odczytałabym w strofach Wolaka zapewne więcej niż pragnie. Bo szczelina zawsze niepokoi.

Znakomite, wyciszone acz dźwięczne metafory dopełniają czytelniczej delektacji. Nie ma tu onomatopeiczności, nie można Wolaka wyśpiewać. Ale ślad faktycznie pozostaje, lekkostopy. Tak to bywa z liryką przezroczyłą.

Urszula M. Benka

Lesław Wolak, *Ślady i cenie*, Wydawnictwo Ad REM, Jelenia Góra 2015.



Rys. Barbara Medajska

Tomasz Misiewicz

Benzedryna, czyli kłamać każdy może

W przedśionku łódzkiego teatru Powszechnego mijamy ściany wytapetowane zdjęciami Konrada Swinarskiego. To dobry prognostyk przed degustacją spektaklu "Hotel Minister" Raya Cooneya (autora takich komedii jak m.in. "Mayday" czy "Okno na parlament"). I choć gatunki, jakim hołdowali obaj twórcy, odległe są diametralnie, to troskliwy patronat Swinarskiego dobrze prorokuje poziomowi sztuki Cooneya. Niestety, realia sceniczne, co łatwe do przewidzenia, nie są łaskawe dla wielbicieli kunsztu pierwszego z autorytetów teatralnych. Zasadnym jest jednak pytanie: czy sztuka zagrana w teatrze Powszechnym trzyma przynajmniej poziom właściwy produkcjom angielskiego mistrza farsy?

Kontury akcji nie są specjalnie skomplikowane. Oto w hotelu Minister zamieszkał poseł Ryszard Wolski wraz z żoną. Przyjechał na posiedzenie parlamentu. Jednak zanim zasiądzie w poselskiej ławie, chce wykorzystać fakt, że żona postanowiła wybrać się do teatru i spędzić upojny wieczór z uroczą sekretarką. Planów tych nie pochwała jego asystent Dobiesław Ryski, który obawia się skandalu, tym bardziej, że kolejnego dnia w parlamencie poddana ma zostać pod głosowanie ustawa na temat korupcji, upadku moralności i walki z pornografią. Sekretarz wykonuje polecenia szefa, poruszając lawinę nieoczekiwanych komplikacji.

Właśnie te komplikacje sprawiają, że prosta w założeniu sztuka irtuje swoją natrętną manierą polegającą na mnożeniu nieprawdopodobieństw. Dzieje się tak zapewne dlatego, iż reżyser nie chciał pozostawić widza sam na sam z pytaniem zgoła trywialnym: kiedy na scenie zacznie się rzucanie tortami? Te jednak nie są potrzebne. Gęstość infantylnych dialogów wypełnia czas spektaklu tak ściśle, że w pewnym momencie widz nie reaguje już na pointy, zwischenruffy i repliki, lecz co najwyżej na artykulację aktorską, gesty i pozy. Te zaś w żaden sposób nie wzbogacają rachitycznej materii komediowej. W dialogach zaś bryluje syndrom zapętlenia. Wiodące postaci przedstawienia, które, jak na klasyka gatunku przystało, oparte jest na nieporozumieniu sytuacyjnym, współzawodniczą w sztuce permanentnego oszukiwania swoich partnerów. By jednak czynić to wiarygodnie, kluczają w swoich zeznaniach coraz przebieglej. Przybiera to z każdym zdaniem nieznośniejszą manierę, ponieważ kolejne kłamstwo wprowadza akcję na coraz wyższe piętra absurdu. Ten zaś władza widowiskiem i merda niczym ogon psem. Kłamię minister, jego żona,

(Dokończenie na stronie 12)

Benedryna, czyli kłamać każdy może

(Dokończenie ze strony 11)

sekretarz, kochanka. „Jestem Ryski, robię co mogę i to dla wszystkich” – to credo wypowiedziane przez asystenta ministra ma tłumaczyć jego aktywność publiczną, lecz de facto zaledwie wytycza granice elastycznych zachowań. Jeżeli autor chciał zawrzeć w tej postawie jakąkolwiek pointę, można tylko spekulować jaką. Że politycy kłamią z definicji częściej niż inni obywatele? Że polityka to szwindel? Miałkie to przesłanie, ale dla odbiorców „Hotelu Minister”, jakich reżyser wymarzył sobie urzęc na widowni, w sam raz. Równie prosty i niewyszukany jest dowcip królujący na scenie. Szeroka paleta w tej materii rozpościera się od podstawiania nóg aż do gagów w rodzaju – kręcimy film „Od tyłu”. Bohaterowie są niewolniczo przywiązani do tak wyznaczonej formuły. Często lądują sobie w kroku lub niechcący zostają przyłapani na czynnościach imitujących akt kopulacji. Zdarza się, że spadną im spodnie, jak sekretarzowi Dobiesławowi. Odtwórca tej ostatniej roli (Jakub Firewicz) to zresztą może najjaśniejszy punkt ekipy aktorskiej, choć niepotrzebnie zonglujący naraz wszystkimi zgranymi przez dekady grepsami komicznymi. Gdyby dać mu do odegrania kreację mniej plastyczną, lecz ambitniejszą w wymowie, miałby szansę zaznaczyć swoją obecność w teatrze, którego wejścia strzeże przenikliwie oblicze Konrada Swinarskiego. A tak pójdzie tylko w zawody z epigonami sztuki slapstickowej. Z kolei postać Chińczyka wtórna będzie w swoim komizmie, jeśli ktoś pamięta nieodległy czasowo kabaretowy pierwowzór o przedstawicielu tej nacji (nawiasem mówiąc: cóż za rozpiętość stereotypu oferują nam autorzy sztuki – jeśli Chińczyk, to albo kelner, albo karateka). Gdyby reżyser nie szedł na skróty tworząc kreacje ociosane topornym dźwiękiem, można nawet śmiało założyć, że aktorzy dadzą radę aspirować do ról ambitniejszych. A tak z magmy chaosu trudno wyłowić wartości dodane. Bałagan sceniczny da się uzasadnić tym, że jeden z bohaterów przedstawienia myli lek na alergię z benzedryną – środkiem pobudzającym. To tłumaczy historyczne wręcz diapazony, na jakie pchnął reżyser swoją ekipę. Taką też drogą podąża karnie cały zespół aktorski. Nie można mieć jednak do niego przesadnych pretensji. Konwencję sztuki określił autor dramatu, a reżyser jej się zasadniczo nie sprzeciwił. Dobrą muzykę skomponował Marcin Rumiński, broni się scenografia spektaklu autorstwa Wojciecha Stefaniaka.

Widowisko miało swoją premierę 11 października ubiegłego roku. To arcyważna data w całych dziejach naszego kraju. Ale, niestety, nie dla łódzkiego teatru Powszechnego. Tego

dnia polska reprezentacja piłki nożnej po raz pierwszy w historii pokonała zespół Niemiec.

Tomasz Misiewicz

Hotel Minister, Teatr Powszechny, Łódź
Reżyseria: Giovanni Castellanos
Premiera: 11 października 2014

Strach czytać te wiersze

Mieszkający w Pile pisarz, poeta, grafik i malarz (ur. w 1947 roku) **Tadeusz Wyrwa-Krzyżański** jest artystą bardzo schorowanym, do granic ludzkiej wytrzymałości. Nie potrafi stać, nie chodzi. Nie wywiesza w oknie swej białej flagi. Śmiem nawet twierdzić, że nigdy się nie podda. Właśnie wydał kolejny tom swych wierszy pt. „Miary do trumny”. Są to jakby treny napisane dla samego siebie. Strach czytać te wiersze. Tragedia autora przeraża. Nie spełni się marzenie poety:

*Chciałbym zejść
po schodach.
Na piwo.
Kupić, zapłacić
i wypić.
I zaraz wrócić.
Nie karz mnie! Oddaj mi
nogi...*

Austriacki poeta Paul Celan (1920-1970) napisał kiedyś w jednym ze swych liryków: „Trochę mówi, ale ciemno mówi”. Tadeusz Wyrwa-Krzyżański wybrał te słowa jako motto „Miary do trumny”. Mogło ono być również jako wizytówka do poprzedniego zbioru wierszy poety z Piły, a mianowicie „Wenflony i żywe rusztowanie”.

Bilans książek poetyckich Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego jest doprawdy imponujący (40 pozycji), ale ich twórca nie spodziewał się takiego finału.

W wierszu pt. „Bardzo mi się chce” czytamy bowiem:

*Nie pomogły wenflony i żywe
rusztowania: lekarek i siostr, i
szpitalne rehabilitacyjne.
Jest coraz gorzej, dla kogoś być może
coraz lepiej.
A mnie się nie chce żyć, bo
bardzo mi się chce żyć.*

Życzymy Ci, Tadeuszu, żyj jak najdłużej i twórz jak najwięcej!

Emil Biela

Tadeusz Wyrwa-Krzyżański, „Miary do trumny”. Wydawnictwo: Biuro Wystaw Artystycznych, Piła 2014, s. 34.

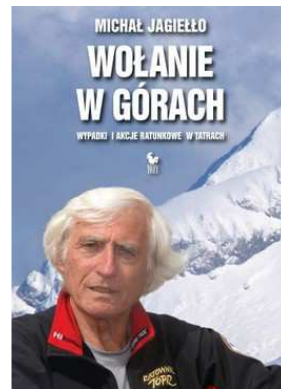
Rycerska księga błękitnokrzyżowców

Powszechnie jest znana legenda o śpiących tatrzańskich rycerzach, lokatorach Giewontu. Jej żywym dopełnieniem są współcześni rycerze górscy, ofiarnie działający od przeszło stulecia w Tatrzańskim Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym, pieczętujący swą działalność błękitnym krzyżem. Wszechstronnie o błękitnokrzyżowcach pisze **Michał Jagiełło** w kolejnym wydaniu „Wołania w górach”. Ta obszerna publikacja (przeszło 800 stron) to swoista rycerska księga błękitnokrzyżowców, encyklopedyczna refleksja o tym, jak jedni ludzie ratują innych ludzi. Ratownicy udzielili pomocy dziesiątkom tysięcy potrzebującym, w akcjach ratowniczych nie szczędzili też własnego życia. Jagiełło to rzetelny kronikarz, doskonale zorientowany w prawdzie o Tatrach i dramaturgii ratowniczych wypraw. W wielu sam osobiście brał udział. Talent pisarski autora sprawia, że jego „Wołanie w górach” czyta się z napięciem i drżeniem serca.

Michał Jagiełło usiłuje odkryć fenomen gór ich oddziaływanie na człowieka, pisze, że są chwile, w których doznania fizyczne stapiają się w jedno z metafizycznymi, biologia łączy się z duchowością i zaczyna się dziać jakieś świeckie nabożeństwo najbardziej prywatnej religii. Jagiełło pisząc o tym zjawisku dowodzi, że jest pisarzem wysokiej klasy. Tłumaczy, dlaczego ludzie idą w góry. Niektórzy wręcz muszą to robić. Ta niewola gór zapewnia ludziom wolność, której nie mają w dolinach.

W posłowniu czytamy: „Pogotowie Górskie, szczególnie Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, to nasze wspólne narodowe, państwowe, obywatelskie dobro. To jeden z ważnych składników naszej tradycji i naszej codziennej współczesności. Ratownicy górscy są potrzebni, bo nie ma ludzi całkowicie w górach pewnych swego. Każdy, nawet najlepszy, może pogubić się we mgle i w zamieci, każdego może dosięgnąć kamień, każdemu może obsunąć się noga...”.

Emil Biela



Michał Jagiełło, „Wołanie w górach. Wypadki i akcje ratunkowe w Tatrach”. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2012, s. 843.

KOZETKA (1)



Kobięcym okiem

Jean-Paul Sartre mawiał, że najlepsze są dialogi bez słów, nie pozostaje mi więc nic innego jak położyć się wygodnie i zacząć pogawędkę...

„Kobieta, która uważa się za inteligentną, żąda tych samych praw, jakie mają mężczyźni. Kobieta inteligentna rezygnuje z nich.

Trudno zadowolić jednocześnie wszystkich i samą siebie. Wolę zacząć od siebie...”.

Sidonie-Gabrielle Colette

JOANNA FRIEDRICH

Czytam złote myśli urodzonej w XIX wieku hedonistki-feministki Colette i myślę, że z czasem jest jak z labiryntem, demiórg zaprojektował autostrady czasu i przestrzeni, Przypadku i Losu, tak aby od czasu do czasu dać nam po raz drugi tę samą życiową szansę. Zadania, pytania lub odpowiedzi na nie.

Stąd powtarzające się motywy w sztuce, cykliczne zapożyczenia, sentymentalne powroty do źródeł i sinusoida epok literackich.

Pytania, które podobno, z definicji, zawierają w sobie odpowiedź, powtarzają się, a człowiek niezmienny w błędzeniu (*errare humanum est*), pozostaje wierny swojej ciekawskiej naturze.

Mam przecucie, że wielkimi krokami zbliża się kolejna wersja Belle Epoque.

Większość spraw została ustalona. Wiemy, że najlepszym rozwiązaniem jest demokracja i wolność myślenia i słowa, wojna płci straciła na znaczeniu, teraz ciekawia nas inne nowości. Nowoczesne *teatrum mundi* dzieje się w mediach. Wirtualność zyskała na znaczeniu. Cyber-niebo stoi przed człowiekiem

współczesnym otworem. Wystarczy wybrać avatara. Każdy jest artystą. Tradycyjne pamiętniki zamieniły się miejscami z blogami, fala narcyzów i ekshibicjonistek wyszła z ukrycia. Media przechodzą metamorfozę. Nowymi bóstwami są gwiazdy-celebrity, a informacja obiega kulę ziemską wiele razy szybciej niż dekadę temu.

Przeczytałam ostatnio o dwóch rodzajach czasu: Chronos, zewnętrzny, który wszystkich złości swoją nieuniknionością (jest brodatym starcem o bujnych lokach) i Kairos, który choć młody, zza bujnej grzywki, świecił łysiną. Starożytni Grecy wierzyli, że komu uda się go za tę grzywkę złapać (a było to arcytrudne, bo Kairos mijał człowieka w mgnieniu oka), ten będzie miał szczęście. Dlatego ten mały bożek uosabiał też alternatywny w stosunku do Chronosa wymiar czasu. Chronos był czasem linearnym, Kairos – osobnym, własnym dla każdego człowieka. Czasem, w którym każdy z nas przeżywa swoje szczęście. Doskonałym.

Taki czas istnieje na szczęście nadal: w filmach i w dziełach sztuki, w poezji i prozie, czasem lekko zanurzonej w realizmie magicznym. Mamy tu do czynienia z zamykaniem historii w symbolicznych ramach, które przenikają do korzeni opowieści i pozwalają wypuszczać jej nowe pąki, nie tracąc gruntu. Jeśli więc mamy praktykować ciągle aktualną maksymę „Carpe diem”, podczas gdy czas zdaje się pędzić w zawrotnym tempie, usiądźmy gdzieś „na krawędzi” świata, w wygodnym meblu, z książką lub pustym notesem i piórem (latem, podczas wakacji, jest to bardziej niż prawdopodobne) i zabawmy się w demiurga-narratora. A wtedy na pewno uda nam się złapać Kairosa za grzywkę. Przynajmniej tę literacką.

fotografii Romana Ingardena, obrazów Mariana Eilego i rysunków Leona Chwistka.

Na wystawie Zbigniewa Herberta pokazemy kilkadziesiąt rysunków przedstawiających twarze. Jest to wybór z kilkuset prac znajdujących się w kolekcji Biblioteki Narodowej w Warszawie. Część z nich – niewielka – to portrety osób realnych. Zdecydowana większość przedstawia postaci ze starych obrazów. Herbert stworzył własny język rysunkowy, pozwalający mu na przeprowadzenie syntezy i uchwycenie ekspresji. Mimo daleko posuniętych uproszczeń nietrudno ustalić, kogo dany rysunek przedstawia. Strategia twórcza Herberta jest szczególną metodą poznawczo-interpretacyjną. Można odnieść wrażenie, że rysując innych ludzi, poeta „tłumaczy” ich twarze na wizerunki bliższe jego rozumieniu. Okazało się – smakowita koincydencja – że rysunki Herberta są bardzo podobne do rysunkowych portretów Josepha Beuysa. Ci artyści na pewno nie znali swoich prac i wszelkie podobieństwa są zupełnie przypadkowe. Ale ta zbieżność jest świetnym kontrargumentem dla różnych „pobłaźliwców”, traktujących działalność artystyczną pisarzy i poetów z sympatycznym lekceważeniem.

On/a

Wernisaż: 25.6.2015

Czas trwania wystawy: 26.6–13.9.2015

Artyści: Jakub Danilewicz, Adam Kruk, Patryk Lutrzykowski, Michał Szlaga

Kurator: Agnieszka Sachar

Współpraca: prof. Grzegorz Kłaman, dr Dorota Nieznalska (Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku)

Miejsce: Galeria Re

Na wystawie *On/a* w Galerii Re prezentujemy prace czterech studentów Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku: Jakuba Danilewicza, Adama Kruka, Patryka Lutrzykowskiego oraz Michała Szlaga. Wystawa powstała we współpracy z Pracownią Działań Transdyscyplinarnych, którą prowadzi prof. Grzegorz Kłaman wraz z asystentką dr Dorotą Nieznalską.

Studenti ukazują przemiany, które zaszły w rolach społecznych, wyznaczonych kobietom i mężczyznom. *On/a* swoją tematyką nawiązuje do wystawy prezentowanej w głównej przestrzeni muzeum – *Gender w sztuce*. Artyści kwestionują trwałość panujących stereotypów oraz postulują konieczność stworzenia nowej wizji kobiecości i męskości na potrzeby najmłodszego pokolenia. Konfrontują rzeczywistość liberalnej Europy Zachodniej z umiarkowaniem Środkowej i patriarchalnością Bałkanów. Pokazując, jak dziś, dzięki większej otwartości kultury oraz najnowszym osiągnięciom medycyny, możemy w coraz większym stopniu decydować o swojej płci.

Wstęp do wystawy stanowi strona internetowa Adama Kruka, na której zostały zebrane materiały satyryczne oraz dokumentacyjne dotyczące gender i którą artysta traktuje jak dzieło sztuki. Pozostałe prezentowane prace można podzielić na dwie grupy. Hafty Jakuba Danilewicza oraz kolorowan-ka Patryka Lutrzykowskiego poruszają kwestie ogólnospołeczne, zaś filmy Adama Kruka i Michała Szlaga stawiają pytanie o zakres wolności jednostki w określaniu własnej płci. Wszyscy artyści szukają drogi do wyzwolenia się z utartych schematów związanych z pojmowaniem kobiecości oraz męskości.



M O C A K

muzeum sztuki współczesnej w Krakowie
Museum of Contemporary Art in Kraków
ul. Ilgowa 4
30-702 Kraków | poland
tel. +48 12 263 70 01
fax. +48 12 237 10 34
www.mocak.pl
mocak@mocak.pl

Zbigniew Herbert
Ludzie

Czas trwania wystawy: 26.06.-13.09.2015

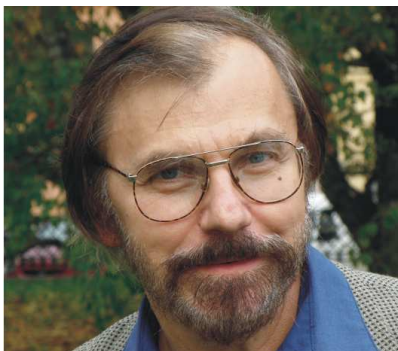
Kurator: Maria Anna Potocka

Koordinator: Agnieszka Sachar

Miejsce: Galeria Beta

Wystawa pod tytułem *Ludzie* wpisuje się w cykl ekspozycji MOC AK-u, których celem jest wzbogacenie wizerunku twórczego znanych postaci. Interesują nas pisarze, poeci, filozofowie, naukowcy, filmowcy, muzycy. Dotychczas pokazaliśmy kolaże Wisławy Szymborskiej i rysunki Mieczysława Porębskiego. Planowana jest wystawa

Listy do Pani A. (84)



Karzeł na krzywych nóżkach

Droga Pani!

Czerwiec to zawsze ciekawy miesiąc. Już nie wiosna, a jeszcze nie lato. Jeszcze wiele się dzieje, bo sezon ogórkowy jeszcze w pełni się nie zaczął. To także ostatni przedwakacyjny miesiąc wydarzeń literackich, zanim wszystko zapadnie w sen letni.

Bardzo ciekawe były promocje dwóch książek wydanych przez Zaułek Wydawniczy *Pomyłka*. Mam na myśli „Listy z oflagi” Witolda Wirpży. Pisane z obozu do ówczesnej narzeczonej, późniejszej żony poety, Marii Kureckiej, są niebanalnym zapisem nie tyle obozowej codzienności, co stanów duchowych, nastrojów, poetyckich spostrzeżeń. Oczywiście, to wszystko podane jest na tle owej codzienności, ale nie ona jest przedmiotem opisu, refleksji, przeżyć wewnętrznych. Te listy stanowią swoisty portret poety; portret osobowości tego niezwykle człowieka. Bardzo to ciekawa książka. Na promocji był wydawca, znakomity poeta Cezary Sikorski, a także Leszek Szaruga, syn Witolda Wirpży. Witolda pamiętam z czasów bezpośrednio przed jego wyjazdem z kraju. Leszka Szarugę znałem bardzo dobrze, siadywaliśmy razem przy jednym stoliku w kawiarni Związków Literatów, który to lokal nie był jeszcze dostępny dla wszystkich. Potem nasze stosunki się rozluźniły, widywaliśmy się coraz rzadziej, aż wreszcie kontakty ustały. Nie wiem, czy Leszek mnie jeszcze pamięta. W każdym razie jakoś nie było okazji podczas tego spotkania mu się przypomnieć.

Wkrótce następną promocją. Cezary Sikorski i Leszek Żuliński wydali tom „Rozmowa” (o tej książce już wspominałem Pani w jednym z poprzednich listów). Jest to bardzo ciekawa rzecz traktująca o poezji, filozofii, życiowych wyborach i rozrachunkach, młodości, dojrzałości. Nie jest to wywiad, ale właśnie rozmowa dwóch pełnoprawnych interlokutorów. Rzecz pasjonująca, bardzo Pani raz jeszcze polecam tę książkę. A rozmowa na promocji w ZLP równie ciekawa, błyskotliwa, dowcipna. Szkoda tylko, że było na niej stosunkowo niewiele osób. Ale kilkanaście, to już coś. Ludzie spoza kręgów „wtajemniczonych” nie lubią rzeczy trudnych, zmuszających do wysiłku intelektualnego. Zapominamy, że przecież od wieków tak było. Nie wszyscy mają... intelekt...

Byłem w Teatrze Polskim na wręczeniu Nagrody im. Zbigniewa Herberta. Otrzymał ją w tym roku Ryszard Krynicki. Bardzo słuszna decyzja. A mnie, z dawnych czasów, utkwily w pamięci wersy jednego z utworów Krynickiego. Wahalem się, czy je zacytować, ale jednak zrobiłem to. Wszak jesteśmy coraz bardziej dorośli; bardziej niż wtedy, kiedy pisałem siedem lat temu pierwszy do Pani list. A oto owe dwa wersy: *orkiestra była rżnięta i panna młoda też / ładnie ubrana...*

Sala w Polskim była pełna. Patrzyłem z jednej strony z zazdrością, z drugiej z zaciekawieniem, dlaczego poezja tutaj potrafiła zgromadzić komplet słuchaczy. Umiłowanie sztuki słowa? Snobizm? Miły obowiązek towarzyski? Jakkolwiek jest, należy to odnotować jako zjawisko ze wszech miar pozytywne. Żał mi tylko, że w naszej auli na Krakowskim Przedmieściu rzadko są wszystkie miejsca zajęte. A przecież mamy również co najmniej kilkunastu świetnych poetów. Chociaż nie możemy za bardzo narzekać. Na promocji tomu „Alla prima” Ewy Zelenay było dużo osób, a poetka podpisywała i podpisywała książkę, aż wypito wszystkie wino. Jeśli chodzi o ten fakt ostatni, to nie mogę rzucić kamieniem...

Trzeba było jednak trochę odreagować. Aliona Borowicz wbrew temu, zapewnieniu „nie będę się rozwodzić”, była „rozwódką” przez czterdzieści minut, dokładnie opowiedziała o najważniejszych nurtach poezji Ewy Zelenay. A krzesła w naszej auli są dla ludzkich siedzeń i pleców łaskawe najwyżej przez dwadzieścia minut. Potem stają się narzędziem tortur. Pani tam bywa, to dobrze wie.

A w „Hybrydach” – jak zwykle o tej porze roku – spotkanie z Krystyną Gucewicz. Teraz połączone z promocją jej najnowszego tomu wierszy „Wtorek z kremem waniliowym”. Chcę Pani tylko przypomnieć, że niewątpliwie Pani tam była, że poezja Krysi zgromadziła bardzo wiele osób ze świata teatru, literatury, sztuki, a także miłośników jej wierszy. I znowu nie można narzekać, że kultura nie cieszy się zainteresowaniem. To prawda, że masy preferują prymitywną rozrywkę, a urzędnicy na tym zarabiają, nie dotują więc przedsięwzięć wartościowych, bo one nie gwarantują wielkich zysków.

Nie liczy na nie Wydawnictwo MELANŻ, które dało czytelnikom „Wtorek...” To zbiór lirycznych wierszy, bardzo pomysłowych, niosących wstrząsienie właśnie poprzez prostotę, szczerość przekazu, autentyczność poetyckiego przeżycia. Czasem traumatycznego, jak w przejmującym wierszu „W szpitalu”. Bo wiersze Krystyny Gucewicz, to nie „słodka” liryka. One w najgłębszym nurcie podszyte są dramatem istnienia, choroby, przemijania wszystkiego, nawet miłości. Także ironią. To są wiersze – powiedziałbym – „niezależne”, nie ulegają modnym manierom, wolne od koteryjnych rozgrywek, walki o stolki i wątpliwe splendoriki.

Napatrzyłem się tym podjazdom na wyborach do Zarządu Głównego ZLP. I co? A nic. Jeden kandydat na prezesa dostał zero głosów. Ponieważ zdarzyło się to bodaj pierwszy raz w dziejach Związku, to z tego powodu on powinien wygrać. Prezesem jednak został na następną kadencję Marek Wawrzkiwicz. Mnie wybrano na sekretarza generalnego.

Pewien grafoman, oburzony moimi ocenami jego „wierszy” oraz wysokimi kryteriami, które

wyzaczyłem jako przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej napisał, że Jurkowski to Robespierre literatury. Nie pomylił się bardzo, bo pomiędzy Robespierrem a geneskiem jest raczej niewielka różnica... Muszę Pani powiedzieć, że nie czuję się usatysfakcjonowany. Przeciwnie, chętnie bym złożył rezygnację z funkcji prezesa Oddziału Warszawskiego ZLP, jak również sekretarza generalnego. Czuję się zmęczony, zniechęcony, z radością wyniosłbym się z Warszawy do jakiegoś małego miasta, gdzie życie toczy się wolniej, bez wstrząsów i środowiska zmij.

Chociaż od tego trudno uciec. Czy w Boże Ciało Pani oglądała relacje z procesji? Nagle infuły podniosły się buńczucznie do góry, jakby były właścicielami Polski i jedyną miarą moralności. Ta sama moralność pozwoliła na wycięcie krzewów nasadzonych wokół świątyni Opatrzności, bo przecież ważniejsza jest szopa polityczno-religijna. Na cmentarzu tych krzewów postawiono estradę dla różnego rodzaju hopsa-hopsa. Znowu zerowanie na niskich, ludycznych gustach posłusznej publiczki. I wszechwładna polityka.

Czytam w „Gazecie Wyborczej” fragmenty przemówienia Józefa Piłsudskiego z 3 lipca 1923 roku, po którym wycofał się on na prawie trzy lata z życia politycznego. Słucham telewizyjnych wieści, czytam – i jako żywo staje mi przed oczami dzień dzisiejszy, bo tak plastycznie Marszałek antycypował wydarzenia i postaci nam współczesne. Jeśli Pani tego nie czytała, to zacytuję charakterystyczny fragment: *Zapluty, potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypływający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nie szczędzący niczego, co oszczędzić trzeba – rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie – ten potworny karzeł pełzał za mną jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów – to obcego, to swego państwa, krzyżący frazesy, wykrzywiający potworną głębę, wymyślający jakieś niesłychane historie (...)*

Powstrzymuję się od komentarza zamyślając się tylko nad analogiami. I dochodzę do wniosku, że w dodatku nie chcę być człowiekiem, skoro to dwunożne bydlę potrafiło wywieźć psa na Rysy i pozostawić na szczycie. Chociaż... Inni poświęcili czas i własne bezpieczeństwo sprowadzając czworonożnego nieszczęśnika na dół. Chwała im za to! Niestety zwyrodniałców jest więcej. Teraz rozrzucają w parkach kawałki wędliny z drucianymi haczykami. Takim bydlakom sam bym wepchnął kolczasty drut do przełyku. Widzi Pani? Patrząc na zbrodniarzy człowiek marzy o dokonaniu na nich zbrodni.

Aby nie kończyć takim ponurym akcentem napiszę Pani jeszcze, że odbyła się promocja kolejnego numeru *LiryDramu*.

Spotkanie raczej kameralne, przebiegło w przyjacielsko-poetyckiej atmosferze, którą stwarza Marlena Zynger. Bohaterem wieczoru był Ares Chadzinikolau, wszechstronny artysta. Poeta, muzyk, kompozytor, animator kultury. A teraz prezes Oddziału ZLP w Poznaniu. Greckie melodie, wiersze, rozmowy – to wszystko pozwalało przenieść się w nieco inną, bardziej przyjazną rzeczywistość. Myślę, że dostrzegłem tam Pani uśmiech. Pozdrawiam przyjaźnie i serdecznie –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



In vino veritas...

Co leczy choroby krążenia, wspomaga funkcjonowanie serca i chroni przed nowotworami? Jakiś nowy specyfik chemiczny? Nie, to nie żaden nowy, cudowny lek, który właśnie wynaleźli naukowcy – to wino...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Już w starożytności kwestia zdrowotnych walorów wina była tematem częstych rozważań. Wypowiadali się o nim filozofowie, pisali zarówno poeci, medycy jak i duchowni.

Temat wina poruszył także bawarski bibliotekarz i kaznodzieja Aegidius Albertinus (1560-1620), autor traktatu *O żarciu i chlaniu*, który piętnował szereg się w wielu środowiskach nadmierne picie wina i obżarstwo. W swoim dziele krytykował uleganie rozkoszom stołu. Jednak na temat wina zamieścił wręcz pochwałę, widząc w nim dwanaście cnót.



Pisał, że wino poprawia trawienie, pędzi mocz, bładym przywraca zdrowe kolory, daje dobry zapach, wzmacnia naturę rodzenia,

raduje usposobienie i krew, gasi wrodzoną gorączkę i rozwiązuje języki milczkom, pozwala żywić nadzieję, człowieka w niebezpieczeństwie czyni śmiałym i zdecydowanym, pozwala zapomnieć o nędzy i rozpacz, ujmuje ludziom skąpstwo i pozwala być hojnym, odmładza starych mężczyzn i kobiety. Jednym słowem: dobre wino, to jak pół życia. A współcześnie, badaniami nad wpływem wina na nasze zdrowie prowadzą naukowcy w laboratoriach wyposażonych w najnowocześniejsze urządzenia.

„In vino veritas” – mawiali starożytni, dając winorośl i jej owoce wyjątkowym szacunkiem i urządając na jej cześć Bachanalia. Później powstała nawet specjalna nauka poświęcona winu – enologia, której nazwa pochodzi od greckich słów oinos – wino i logos – nauka.

Dziś wiemy, że wino zawiera ponad tysiąc różnych związków chemicznych o większym lub mniejszym stopniu oddziaływania na zdrowie – w większości pozytywne.

Ostatnio odkryto na przykład, że wino zawiera polifenole i resweratrol – związki działające chemoprewencyjnie, a więc zapobiegające rozwojowi nowotworów i chorób układu sercowo-naczyniowego.

Dlatego właśnie Francuzi czy długowieczni Gruzini nie mają zawałów serca, rzadziej zapadają na chorobę Alzheimera i nie mają także parodontozy, ponieważ polifenole działają także antypróchniczo.



Ale to nie wszystko jedno, jakie wino się pije. Najlepiej na nasze zdrowie wpływa wino czerwone i najlepiej wytrawne. Bo resweratrol, związek zapobiegający nowotworom i obecnie najbardziej „na topie” występuje w skórce winogron, a technologia produkcji wina czerwonego sprawia, że jest w nim więcej resweratrolu niż w winie białym.

Pewnie niektórzy zastanowią się czemu pisać o winie... Niedawno, moi przyjaciele,

Monika i Witek, planujący otworzyć sklep z winami gruzińskimi, zaprosili mnie na degustację takich win.

– Andrzej, ale to nie będzie zwykła degustacja, to będzie ciężka praca – przestrzegali mnie przed spotkaniem.

Na stole 12 gatunków gruzińskiego trunku – Mtsvane, Besini premium white, Saperavi Rose, Kisi kvevri, Saperavi, Mukuzani, Kindzmaruauli, Besini Kindzmaruauli, Saperavi premium, Moscato, Besini premium red. Do tego kartka i długopis. Próbowaliśmy, próbowaliśmy, próbowaliśmy... Zaznaczyliśmy w odpowiednich rubrykach smak, zapach, klarowność... Cudowna praca. Wszyscy zaproszeni pytali gospodarzy, że chcieliby taką pracę wykonywać codziennie. Do tego sery, wędliny, no i hit – sałatka gospodarza, przebijająca nawet najlepsze wina...

Osobiście najlepiej smakowało mi Besini Kindzmaruauli, wino o delikatnym smaku oraz Saperavi Rose, może nie najlepsze w smaku, za to o niebiańskim zapachu.

Pamiętam, że przy winie numer dziewięć, zaczęliśmy się głośno zastanawiać, czy gospodarze zechcą nam zafundować wszystko jeszcze raz od początku, gdyż nie pamiętaliśmy już smaku tych z początku degustacji...

Piszę o tym trochę humorystycznie, ale wydaje mi się, że powinniśmy więcej zwracać się w stronę picia wina, niż ciężkich alkoholi, nie bardzo pozytywnie działających na nasze organizmy, szczególnie wtedy, kiedy mamy problemy z umiarem. Lepiej więc sięgać po wino czerwone. Oczywiście nie należy z tych danych wyciągać przedczesnych wniosków, że jeśli w Polsce zacznie się masowo produkować wino, to ze względu na klimat będzie ono prawdziwą bombą antynowotworową.

Niestety – i tu jest ta zła wiadomość dla miłośników wina – nie należy go wypijać więcej niż dwa kieliszki dziennie. I najlepiej pić je do posiłku zawierającego witaminę C. Ta kombinacja składników dodatkowo pomaga jeszcze oczyścić krew ze złego cholesterolu.

W tym miejscu zwracam się do wszystkich moich znajomych czy nie ma takich, którzy myślą o otwarciu sklepu z whisky. Ten trunek, choć może bardziej szkodliwy dla zdrowia, działa o wiele intensywniej na moją wyobraźnię...

Tak więc niniejszym zgłaszam swój akces do tej ciężkiej roboty, zgodnie z zasadą, że *żadnej pracy się nie boję...*



JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (58)

(fragmenty)



Słyszał z wyjątkowego okrucieństwa i już na wstępie, gdy przejął władzę, kazał ozdobić głowami 10 tysięcy wrogów mury Fezu i Marakeszu, a w trakcie sprawowania władzy sam, własnymi rękami, uśmiercił około 30 tysięcy ludzi. Jego największa stajnia, którą oglądamy przy okazji zwiedzania wielkiego spichlerza, w starej stolicy Meknes, mogła pomieścić 12 tysięcy koni.

O ironio historii! – właśnie pod rządami tegoż okrutnika Maroko rozkwitło najpiękniej, zarówno handlowo, jak i architektonicznie.

W Marakeszu zwiedzaliśmy m.in. pałac de la Bahia, zbudowany w przeciągu 14 lat pod koniec XIX wieku. Wielki wezyr Bu-Ahmed, który był karłem, tak kochał swoją żonę Bahię, że nazwał jej imieniem swoją rezydencję, co nie przeszkadzało mu mieć oprócz niej dziesiątków nałożnic i trzech innych żon. Patio pałacu jest wymarzoną miejscem na spacer – są tu małe ogrody, zacienione dziedzińce i fontanny, gdzie jak głosi legenda, jego nałożnice obmywały się, a wielki wezyr obserwował je, sam niewidoczny, jak pochylają się przy fontannie i wybierał sobie najbardziej ponętną na kolejną noc, co było cichym marzeniem każdej z nich. Nałożnice-dziewice otrzymywał w prezencie od różnych władców i byłoby wręcz nietaktem dyplomatycznym, gdyby ich nie przyjął. Każda z czterech żon miała swój pokój przy dziedzińcu. Apartamenty sypialne dużego haremu były zgromadzone wokół innego dziedzińca. Wielodrzwiowe przejścia łączące różne części pałacu są tak zbudowane, by nie można było wiele zobaczyć przez otwarte drzwi. Stropy ozdobione stiukami, arabeskami, cisowymi ażurami, niezwykłymi sklepieniami, mozaikami: podobnie podłogi i ściany całe w mozaikach, w malowidłach: istne cuda, cudenka.

Eunuchowie pilnowali haremu, a niewidomi muzykanci przygrywali igraszkom wezyra. Podobno, gdy się gdzieś urodził

niewidomy chłopiec, miano go na oku, jako przyszłego kandydata do orkiestry haremuwej.

Miejsce kobiety arabskiej jest w domu, a jedno z koranicznych przykazań mówi: „niechaj mężczyźni kierują kobietami, gdyż wołają Allacha jest, by jedno panowało nad drugim”. – „Panowało”, ale również troszczyło się, brało pod opiekę, zapewniło bezpieczny byt – mówi Ahmed i dodaje: – Z europejskiego punktu widzenia wydaje się na przykład niesprawiedliwe, iż wdowa dostaje po zmarłym mężu połowę z tego, co przysługuje mężczyznom. Tymczasem, gdy spojrzeć na to z muzułmańskiego punktu widzenia, ma to logiczne uzasadnienie. Ta kobieta musi mieć zapewnioną opiekę ze strony mężczyzn z rodziny: ojca, syna czy brata zmarłego. I oni będą wydawać na jej utrzymanie czy utrzymanie jej dzieci...

Na uwagę, że kobieta po rozwodzie otrzymywała dawniej tylko to, co miała na sobie, stąd kobiety arabskie są „na wszelki wypadek” obwieszane srebrnymi i złotymi wyrobami, dźwigając na sobie nieraz 20 kilo ozdobnego żelastwa, Ahmed ripostuje, że to było „dawno i nieprawda”. Teraz muszą być trzy rozprawy sądowe, a żona winna otrzymać połowę ich wspólnie wypracowanego majątku. Niemniej, przyznaje, iż zdarza się, że rozwiedzione nie mają środków do życia i stają się prostytutkami.

Obyczajowość i tu się zmienia, choć bardzo powoli: w ciągu ostatniego ćwierćwiecza liczba pracujących pań wzrosła do 25 procent, minimalny wiek do zawarcia małżeństwa został prawnie podniesiony do 16 lat, a pisarka Fatema Mernissi jest autorką licznych książek o tematyce feministycznej.

Jednak nadal ich zarobki są mniejsze, ostra linia podziału między strefami kobiet (dom, damska łaźnia publiczna, cmentarze w piątki) i mężczyzn (bytność w pozostałych miejscach publicznych) są ostro zaznaczone. A jeśli chodzi o proporcje uczących się w szkołach – rozkładają się one trzy do jednego na korzyść chłopców...

Kozy na drzewach i inne niezapomniane widoki

Co zrobiło na mnie największe wrażenie podczas objazdu, oczywiście oprócz czarnych kóz na drzewach argonowych, które zachowują się jak wielkie czarne ptaki pałaszujące liście wysoko na gałęziach?

Na przykład wiadomość, że w okresie miesięcznego postu zwanego ramadanem konsumpcja żywności na głowę jednego Marokańczyka wzrasta, a nie spada, i to dwukrotnie!

O przekorna natura ludzka! Okazuje się, że choć tutejsi muzułmanie przestrzegają ściśle postu od wschodu do zachodu słońca, to po zachodzie słońca stoły w domach się uginają, gdy nocą nadrabiają zaległości,

uczując, aż im się uszy trzęsą!

A co pozostanie na trwałe w pamięci? Na przykład parkingi osłe czy mule przy drogach; po kilkadziesiąt sztuk czworonogów czekających w cieniu na swoich właścicieli, wieśniaków. Zjeżdżają oni na nich z gór, pozostawiają je na „parkingu”; a sami zamawiają tak-sówki i udają się na targowisko, by dopiero, gdy zakupią towar, zarzucić im go na grzbiety i dotransportować do domostw.

Osły i muły są galernikami Maroka. Zresztą, nie ma co ukrywać, prawie wszystkie zwierzęta są tu traktowane źle; wyzyskiwane gorzej od kobiet, wychudzone, niedożywione. Pewna Amerykanka – nie pamiętam jej nazwiska – założyła nawet w Casablance w 1920 roku wielką rezydencję – lecznicę i fundację dla zwierząt oraz poświęciła pół życia na zapewnienie im godziwych warunków w swoim schronisku. Do dziś jeszcze każdy ma prawo zgłosić się tu z okaleczonym zwierzęciem i otrzyma darmo pomoc weterynaryjną. Widać ten pałac-lecznicę z okna autobusu, a trochę dalej rezydencję Bardotki, którą lubią się tu szczyścić.

Najlepiej w Maroku mają się koty, bo jeden z nich uratował ongiś proroka Mahometa, więc traktowane są po dziś dzień z honorami jak święte krowy w Indiach: wszędzie je można zobaczyć, nie tylko na podwórkach i ulicach, ale i w zwiedzanych pałacach, kawiarniach, nekropoliach, w warsztatach rzemieślniczych, przy straganach, a nawet, jak przemycają się do meczetów: tłuste i tajemnicze.

Ogromne wrażenie zrobiła na mnie pracowitość rolników wybierających kamienie ze swoich pól, żeby mogli później obsiać je nasionami traw, zbóż, założyć plantacje pomarańczy, bananów, a przede wszystkim oliwek, winogron etc. W wielu miejscach, gdzie pojawiają się tereny uprawne, są one ogrodzone białymi murkami i murami. Mury z kamieni układane są według pewnego schematu, żeby przetrwały wichury. Tam, gdzie kamienie nie zostały wybierane, plony bywają mizerne lub skalista ziemia to ugor.

Krajobraz Maroka jawi się w całej gamie klimatycznej i kolorystycznej; od żółci i pustynnej szarości po majową polską zieleni. Gdy jedzie się z Agadiru do Safi, a potem do Rabatu – widać z okien autobusu linię brzegową Atlantyku, ale nie brakuje też pejzaży górskich Atlasu oraz Antyatlasu. Wspięliśmy się nawet na wysokość 1500 metrów, ale niektóre pojawiające się za szybą szczyty liczyły powyżej 4 tysięcy metrów. W górach Atlasu mieszkają Berberowie, którzy dzielnie opierali się władzy francuskiej i tworzyli ruch oporu. Niestety ów ruch oporu polegał m.in. na niewysyłaniu dzieci do szkół francuskich i Berberom weszło to tak w krew, że mści się to do dziś dużo wyższym wskaźnikiem analfabetyzmu niż u Arabów.

cdn.

Poezja pisana „dialektyką miłości”

O zjawisku i mechanizmach dialektyki, czyli „zbierającego-rozbierania” lub „rozbie-
rającego-zbierania” mówi się zasadniczo, że
mają one charakter pozytywno-syntetyczny
lub negatywno-destrukcyjny. Rzecz jasna, że
mamy tu do czynienia z interakcjami między
ludźmi pozostającymi w związkach w ramach
szeroko rozumianych wspólnot: począwszy
od rodziny, a skończywszy na społeczeństwie
globalnym. Miłość między kobietą i mężczy-
zną – to tylko jedna z form tego szeroko
zarysowanego zjawiska i jest to forma gene-
tycznie pierwotna, która została ze względu
na swe liczne symptomy przeniesiona na inne
zjawiska społeczne, od niej pochodne, a
nawet niektórzy głoszą obecnie pogląd o
potrzebie „cywilizacji miłości”, przeciwsta-
wiający go podobno panującej obecnie w
świecie „cywilizacji śmierci”. Ta ostatnia
kwestia nie jest specjalnie interesująca, a
momentami przypomina coś na kształt „ba-
nału metafizycznego”, pozbawionego funda-
mentu płciowości, bez którego sens miłości
zostaje głęboko wypaczony. Trudno też zna-
leźć poetów, czy innych artystów, którzy
inspirują się tego typu zjawiskami, chyba,
że podejmują się w swym zamyśle artystycznym
jakiejś intrygi kontr-kulturotwórczej o cha-
rakterze transformacyjnym. Każdy bowiem
artysta skupia się przede wszystkim na fun-
damencie naturalnym danego zjawiska, które
go inspiruje twórczo, a w którym ma tę cenną
możliwość osobistego uczestniczenia. I tak
wydaje się być również z miłością, głównie
między kobietą i mężczyzną, bo właśnie w
niej można dostrzec jak na dłoni wszystkie
istotne momenty tego fundamentalnego
uczucia, które uogólnione traci swój wyraz
oraz koloryt i staje się mniej powabne czy
intrygujące. Zrozumiał to już dawno Platon,
który u podstawy poznania i istnienia czło-
wieka założył ową „dialektykę miłości” sta-
nowiącą siłę sprawczą, bez której ani pozna-
nie, ani istnienie człowieka nie miałyby głę-
bszego sensu: pozbawiając człowieka owej
energii antropotwórczej w wyborze siebie i
świata własnego życia. Właśnie w tym klima-
cie artystycznym utrzymana jest bardzo
kobiecy tomik poezji autorstwa krakowskiej
poetki **Renaty Batko**, a noszący tytuł: „**Galak-
tyczne koronki**”.

Batko jest już doświadczoną pisarką, a ja-
ko poetka debiutowała w roku 2009, zaś
samodzielny tomik poezji pt. „Gdzie płoszy
się sen” opublikowała w roku 2011. Kolejny
jej zbiorek poezji ukazał się już w roku 2013 i
nosił tytuł – „Spotkania”. W tym trzecim,
stanowiącym przedmiot naszego zaintereso-
wania, poetka kontynuuje swoje zamyśły
literackie, wykorzystując specyficzną, delika-
tną wrażliwość na piękno przyrody, innego
człowieka, ale i na życzliwe stosunki między-

ludzkie: szczególnie ich wymiary emocjonal-
ne, co owocuje poezją o charakterze typowo
lirycznym, choć niektóre jej utwory przyjmu-
ją formy sonetów, ale i krótkich utworów
gnomicznych, w których stara się uchwycić
prawdę o życiu na „gorącym uczynku”.

W „Galaktycznych koronkach” autorka
sięga poetycką wyobraźnią dalej ku kosmicz-
nemu uniwersum, które na pierwszy rzut oka
wydaje się gołemu oku niewidzialne. Próbuje
jakby penetrować kosmos, gromady gwiazd i
galaktyk, kojarzących się jej z niekończącą się
płatą koronek, które w tym chaosie
uniwersalnym jakby ujawniają skrywane się
w nim głębokie struktury bycia nie tylko
kosmosu, naszej planety, ale i każdej istoty
żywej z osobna. Niekończąca się ewolucja
tego uniwersum podpowiada poetce, że
śmierć jako naturalna forma istnienia sięga
do korzeni tej głębokiej struktury „koronki
galaktyk”, w sieci których człowiek i jego
planeta są tylko epizodami. Człowiek bowiem
zapomina o tym, co niewidzialne, a żyje
jedynie światem otaczających go oczywistości.
Batko nie zgadza się z tym i podpowiada, że
należy iść dalej w to niewidzialne, by dotknąć
tego, co nazywamy owym „porządkiem metafiz-
ycznym świata”, gwarantujących ów wszech-
związek, a nawet „braterstwo wszechby-
tów”, to jest ludzi, drzew, kamieni, gwiazd, planet,
a nawet światów wirujących wokół „czarnych
dziur”, tworzących tę „sieć miłosnych zwią-
ków”, którą może ogarnąć poezja sięgająca za
tą „kosmiczną koronkę”. Kosmos bowiem
może być również inspiracją dla poetów, bo
stanowi równie emocjonalną przestrzeń
istnienia, analogiczną do przestrzeni ludzkie-
go egzystowania. W wierszu pt. „Galaktyki
koronek” czytamy: „na linii oko – oko / każdy
detal blednie / i odpływa w przezroczyście //
na linii serce – serce / gasną kłótnie i spory /
milkną odgłosy zbrojnego oręża / (...) / w
takich chwilach / przerywają codzienne zaję-
cia / siadają pod girlandami galaktyk / i dzier-
gają światłowodowe koronki – // nieskończo-
ne szpalery miłości”.

Ten kosmiczny horyzont to jedynie pre-
ludium do tego tomiku, do głębokiego wglądu
w horyzonty miłości, upersonifikowane w
kolejnych imionach kobiet, stanowiących
preteksty dla kolejnych wierszy pomieszczo-
nych w nim. Składa się z dwóch części:
„Tchnienie życia” oraz „Szpalery miłości”.

Ta druga część tomiku traktuje o miłość,
szczególnie tej kobiecej, bardziej konkretnie,
ukazując jako domostwo wszechbycia z
innym człowiekiem – szczególnie mężczyzną,
Autorka opisuje rzeczywistość domową:
miejsce życia, w którym rozwija się i rozkwita
każda kobiecość na falach burz namiętności
w nim szalejących na przemian z ostojami
refleksji i spokoju. Poetka zamieszcza tu
kolejny wiersze noszące imiona kobiet, naj-
częściej jakoś znanych i mających swoją
wartość symboliczną w warstwie kulturowej,
wczuwając się jednocześnie w ich dusze, by
spróbować innowacyjnie ukazać ich miłość

naznaczoną wyjątkowością ich losu, który w
każdym przypadku ją jakoś przewartościowuje.
Owe przewartościowania wydaje się być
uwarunkowane również osobistym doświad-
czeniem poetki, ale i współczesnymi kontek-
stami kulturowymi, narzucającymi takie, a
nie inne ich rozumienie. Ow „Szpalery mi-
łości” rozpoczyna biblijna „Ewa – samotna”, a
następnie Batko ujmuje w kolejne wiersze-
portrety intymne następujące kobiety symbo-
liczne, dodając do nich ich przydomki: „Julia
– niosąca pojednanie”, „Ofelia – uległa nie-
winnosci”, „Róża – w kornie sprzeczności”,
„Gerda – walcząca miłością przyjaciółki”,
„Izolda – eksplozja miłości”, „Susannah” –
wicher namiętności”, „Danuta – zawiedzio-
na”, „Alina – niekochana”, „Aleksandra –
ożywia jak majowa burza”, „Eelin – niosąca
światło”, „Miriam – miłość przemijająca”,
„Judyta – walcząca”, „Halina – życie pełną
piersi”, „Karen – niestrudzona”, „Edith –
samotność w blaskach fleszy”, „Herodia-
da/Balladyna – mściwa, żadna władzy”, „Eu-
rydyka – marzenie mężczyzn, zniewolona
stereotypami”, „Anna – dająca szczęście,
pełna bólu”, „Lidia – kapłanka”, „Minerwa –
dojrzała, pełna pasji”, „Penelopa – czekająca”,
„Lidia – kapłanka”, „Debora – sędzina”,
„Wiera – wierna w oczekiwaniu i przekracza-
niu granic rzeczywistości”, „Desdemona – ofiara
podejrzliwej miłości” i „Agata – niosąca
brzemień”. Nie będziemy wchodzić do wnętrza
tych wierszy, choć niektóre z nich wzbogaco-
ne są epizodami poszerzającymi symbolicz-
ność przedstawianych tam aktów miłości, bo
czyni to trafnie Magdalena Węgrzynowicz-
Plichta, która detalicznie omówiła te utwory
w Posłowiu zamykającym ten tomik. „Pozna-
jąc kolejne kobiety-alegorie i wybrane cnoty,
możemy dochodzić do zupełnie różnych
wniosków – podkreśla Węgrzynowicz-Plichta
– w zależności od poglądów i doświadczenia,
ba, nawet w czasie lektury jednego wielo-
zwrotnego wiersza możemy doznawać
skrajnych odczuć, począwszy od sympatii i
współczucia do gniewu i nienawiści, z apatią
włącznie. I bardzo dobrze, tak różnorodny i
dynamiczny w przebiegu odbiór zgodny jest z
zamierzeniem Autorki. I trudno niezgodzić
się z tą opinią, polecając tę poezję Czytelnikowi,
równocześnie podpowiadając, że jest to
przykład ciekawej i dojrzałej poezji kobiecej,
ujawniającej złożoność jej natury.

prof. Ignacy S. Fiut

Renata Batko, „Galaktyczne koronki”. Posłowie:
Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Wydawnictwo
SIGNO, Kraków 2015, s. 68.



Surrealistyczna klasyczność w twórczości Zbigniewa Kresowatego

Zbigniew Ikona Kresowaty należy do tych nielicznych twórców, którzy jak Andrzej Frycz Modrzewski, sprawiają wielką trudność badaczom ze względu na renesansowe podejście do sztuki. Z tego też powodu jakakolwiek próba ogarnięcia całego dzieła, przez jednego człowieka musi się ograniczyć tylko do niewielkiej części tego, co dopiero zespół kompetentnych znawców ma szansę oddać jako całość.

Jednak we wszystkich dziedzinach można znaleźć pewne podobieństwa, które pozwalają w sposób intuicyjny uchwycić indywidualny ślad artysty. I tu pojawia się kolejna trudność wynikająca z tego, że krzyżują się w jego pracach nie tylko różne elementy związane ze stylami i epokami, ale także odnajdujemy tu ogromny wpływ różnych kultur ze szczególnym uwzględnieniem bliskich mu kresów. Niewątpliwie ta niezwykła mieszanka ma ogromny wpływ na ostateczny obraz tego, co ma nam do zaoferowania ten poszukiwacz nowatorskich rozwiązań, zaskakując swoją niepowtarzalnością. Trzeba jednak zaznaczyć, że Zbigniew Kresowaty nie jest rzemieślnikiem, który w sposób precyzyjny powiela określone wzorce z przeszłości, lecz świadomym swojej oryginalności kreatorem nowych wizji, ubierającym przeszłość w niecodzienne rozwiązania. Nawet skromna znajomość malarstwa i rzeźby uświadamia nam, że upodobanie do klasycznego smaku, choć być może dużo trafniejsza byłaby uwaga, że to nie klasycyzm, ale fascynacja secesją powoduje, iż odnajdujemy tutaj płynność linii i swobodę kompozycji, co określa pewną nieprzekraczalność granic, które mogłyby irytować swoim dziwactwem, gdyby zostały przesunięte chociażby o milimetr. Przy czym nie odważyłbym się zasufladkować tego, co robi Zbigniew Kresowaty, ponieważ on jakby tylko muskał określone propozycje w jakimś biegu, który nie pozwala mu się zatrzymać. Może jest to zbyt odważne, ale mógłbym porównać twórcę do wiatru, który przemyka się obok, zachwycając swoim dźwiękiem a równocześnie nie dającym się ujarzmić w określonej bryle. Dlatego dążenie do niemal perfekcyjnego ukazania, na przykład ludzkiej sylwetki, robiącej wrażenie wprost wypieszczonej, nie jest doprowadzone do końca i ciało rozplywa się w surrealistyczny obrazie. Kiedy się na to patrzy, to trudno nie ulec wrażeniu, że to Michał Anioł i Salvadore Dali przeniknęli się nawzajem, tworząc nową jakość pod postacią carodzieja z Wrocławia. Naturalnie nie

staram się na siłę szukać jakichkolwiek korzeni, gdyż nie czuję się na tyle kompetentnym, aby podejmować w tym przypadku jakakolwiek, choćby najmniejszą próbę. Ta moja ostrożność wynika również z tego, że jeśli położymy obok siebie rzeźbę, ikonę oraz rysunek, to odniosmy wrażenie, jakbyśmy oglądali prace trzech całkowicie obcych sobie ludzi. To jakby tworzenie siebie na nowo pod wpływem innego tematu lub całkowicie nowej koncepcji. Oczywiście, obserwując ewolucję innych, którzy zaczęli od malowania krajobrazów, a skończyli na ikonach lub malarstwie nowoczesnym, dostrzegamy odmienność prac, ale w tamtych przypadkach jest jakby ostateczne pożegnanie jednego, aby już do końca życia pozostać przy tym drugim, natomiast u Kresowatego jest odwrotnie, jakby łapał wszystkie sroki za ogon i nie rezygnując z niczego, równocześnie doskonalili wszystkie drogi, które na początku wybrał. To kolejny czynnik, który uniemożliwia zasufladkowanie, dlatego tytuł niniejszej pracy też należy traktować z wielką ostrożnością, jako duże uproszczenie tego, co ma nam do zaoferowania omawiany przez nas twórca.



Foto: https://pl.wikipedia.org/wiki/Zbigniew_Kresowaty

Zbigniew Kresowaty

Nie zapominając o tym, że Zbigniew Kresowaty jest także krytykiem, również i tutaj odnajdziemy tę niezwykłą korelację między światem realnym i poetyckim. Sam będąc poetą, bardzo dobrze zdaje sobie sprawę, że są miejsca, których dopowiedzieć się nie da i nawet najbardziej wytrawny krytyk, który uwolni się od pewności siebie, będzie musiał ulec urokowi tego, co niewypowiedziane i tak bardzo ulotne, że jakakolwiek próba analizy, może się skończyć brutalnym zniszczeniem czegoś, co może istnieć jedynie w określonej

atmosferze, gdzie nie powinno się wchodzić z buciurami interpretacji, ponieważ nie ma tam na to miejsca. Przecież nie jeździ się buldożerem po klombie, rozpruwając gąsienicami niezwykły zapach róż. Wypowiedzi krytycznoliterackie Kresowatego są bardzo specyficzne i już same w sobie stają się pewnym znakiem firmowym zarezerwowanych tylko dla niego, gdyż trudno sobie wyobrazić, by ktoś spróbował iść tą samą drogą. Znajdziemy tutaj pewne balansowanie między konkretnym chodzeniem po ziemi i równocześnie bujaniem w obłokach, bo przecież takie są poetyckie wypowiedzi, które, nie rezygnując z ziemskiego padole, wymykają się do krainy, zaskakujących nas na każdym kroku paradoksami. Wydaje mi się, że właśnie na tym polega inność podejścia literata z Wrocławia do twórczości tych, których książki omawia. Z tego też względu obok konkretnych, niemal zimnych, stwierdzeń pojawia się poetyckość, która w sposób metaforyczny dobudowuje niezwykły świat interpretacji, który znów, w zależności od upodobań i gustu czytelnika może wywoływać różne reakcje. Jednakże nikt nie zaprzeczy, że łączenie tych dwu elementów powoduje nie tylko to, że mamy okazję zetknąć się ze specyficzną wypowiedzią, ale odniosmy wrażenie, jakbyśmy znowu obserwowali połączenie dwóch antagonistów, którzy w tej nowej sytuacji zaczynają ze sobą współpracować, tworząc ład. W tym wypadku będzie to połączenie klasycyzmu z romantyzmem, gdzie obok piękna i harmonii wypowiedzi niby smukłych kolumn, spotykamy się z potokiem słów zachowujących się jak ulotne nimfy lub rusalki unoszące się w swoich zwiewnych szatach tuż nad ziemią niczym baletnice na palcach. Naturalnie nie każdy musi lubić balet, ale chyba każdy przyzna, że właśnie to dodaje pewnej eteryczności recenzjom omawianego przez nas literata.

Aby nadażyć za tą niezwykłą osobowością trzeba mieć nie lada kondycję i reporterskie zacięcie oraz wszechstronną wiedzę, by się pokusić o to, aby ogarnąć nie tylko jego poezję i dorobek krytycznoliteracki, ale również nie mniej imponującą siłę, dzięki której Zbigniew Kresowaty staje się popularyzatorem tego, co dzieje się we współczesnej literaturze polskiej. Ten tytan pracy, dzięki swoim kontaktom z różnymi miłośnikami pędzla i pióra, podejmuje się przybliżenia tego, co się dzieje w artystycznym świadku, a co bardzo często jest spychane na boczny tor niewuagi i ginie gdzieś w niepamięci.

Kończąc tę próbę zasygnalizowania tylko nielicznych elementów z tej bogatej działalności pod skrzydłami prawie wszystkich Muz, chciałem podkreślić szczególną życzliwość tego człowieka, który, mimo tak wielu pasji, odnajduje czas, aby na chwilę przystanąć i podać rękę tym, którzy dopiero przebijają się na parnas.

Robert Czop



Biblioteka Analiz

Apetyt na Melpomenę

Książka Piotra Kitrasiewicza „Apetyt na Melpomenę” jest zbiorem recenzji ze spektakli w teatrach warszawskich z okresu ostatnich 10 lat. Autor z premedytacją nawiązuje do szkoły recenzenckiej wypracowanej przez przedwojennych mistrzów takich jak Tadeusz Boy-Żeleński, Antoni Słonimski, Karol Irzykowski czy Jan Parandowski.

W dzisiejszych czasach, kiedy przenoszono na papier spotkania z Melpomeną nie posiadają indywidualnego odniesienia, służą schlebaniu koteriom, snobistycznym gustom oraz osobistym porachunkom, a w dodatku często są artykułowane za pomocą sięgającego bruku języka, warto zwrócić spojrzenie w kierunku okresu, w którym recenzent mówił po prostu to co czuł, oglądając spektakl, a po jego zakończeniu formułował swoje odczucia w słowie pisanym.

Książka ta ma służyć delikatnej zachęce do obcowania z muzą teatru – Melpomeną, która potrafi – w zależności od tego jaki „kapłan” ją reprezentuje – irytować, nudzić, złościć i zniechęcać, ale również zaciekawiać, zastanawiać, wciągać, współprzeżywać, pochłaniać, skłaniać do refleksji, prowokować emocje, zachęcać do przyjrzenia się bliźnim oraz samemu sobie.



Piotr Kitrasiewicz, „Apetyt na Melpomenę”. Wydawca: „Biblioteka Analiz”, Warszawa 2015, s. 304.

Stepan Prociuk

O kawie z samym sobą

Zakochałem się w kawie jeszcze będąc studentem i odtąd jest moją wierną towarzyszką i w domu, i w pracy, i w czasie odpoczynku. Towarzyszy mi na spotkaniach z przyjaciółmi i znajomymi. Jednak najbardziej lubię pić kawę w towarzystwie... samego siebie. Czyli bez towarzystwa. Oczywiście przed napisaniem tych słów wypilem już w kuchennym zaciszu kolejną porcję tego czarnego narkotyku. Tym razem w postaci rozpuszczalnego „Jacobsa”. Nie jestem wybredny w stosunku do gatunków kawy. Nie należę do grona kawowych koneserów.

Swoją skłonność do tworzenia rytuałów realizuję, wypijając swoje poranne, dzienne, a czasem nawet nocne filiżanki kawy. Ale cóż by to był za osobisty rytuał, gdyby nie był on odprawiany w samotności? Stereotyp kawy jako trunku towarzyskiego przełamałem jeszcze we wczesnej młodości. Od tego czasu utracił on dla mnie znaczenie. Dobrze, że rozmówcy przy filiżance są sympatyczni i dyskutują z przyjemnością, ale jak ich nie ma, to też nie szkodzi.

Muszę wyznać, że czuję się bardzo komfortowo, siorbując kawę w samotności. Potwierdzą to barmani wielu frankowskich kawiarenek! Wcale nie chodzi o dumę, ostracyzm czy mizantropię, chociaż w towarzystwie wolę milczeć i słuchać opowieści snute przez mych rozmówców.

Samotność z filiżanką kawy – jest realizacją mojego społecznego prawa do porcji kofeiny.

Czego tylko nie robi człowiek w imię ucieczki od samego siebie... Jedni zbierają pudełka po zapalkach czy zjadają kilka tortów za jednym razem, marząc zobaczyć swoje nazwisko w księdze rekordów Guinnessa. Inni ćwiczą swoje umiejętności w szkołach nauk cynicznych. Jeszcze inni zażywają 40-50 pigułek dziennie, zatracają się w alpinizmie czy alkoholizmie (w sumie, to żadna różnica).

Czyżby mój kawowy rytuał samotnika był formą ucieczki od samego siebie? A może jednak to ucieczka do siebie? Kto to wie... W każdym bądź razie rytuał ten – niezależnie od tego czy jest odprawiany w kawiarni, czy przy kuchennym stole – dodaje mi energii. A jeśli to jedynie iluzja, to – niech żyje iluzja!

Przecież każdy z nas ma swoje iluzje na użytek prywatny, jak te:

1. Jestem szanowany i lubiany, bo jestem bogaty (a co jeżeli któregoś dnia zabraknie bogactwa i wpływów? Co pozostanie od szacunku czy nadszkalowania? I najważniejsze – kto pozostanie?);

2. Jestem mądry i utalentowany (wszystko jest względne);
3. Jestem piękny i młody, cieszę się powodzeniem (zobaczymy to powodzenie za dziesięć – piętnaście lat).

Z drugiej jednak strony, pozytywny stosunek do samego siebie, nawet ten porośnięty mchem iluzji, dodaje sił i pewności siebie. Tak więc, każda wypita filiżanka kawy sprzyja pozytywnym emocjom.

Często się zastanawiam, co by było, gdyby pewnego dnia został wprowadzony zakaz picia kawy? Albo kawa po prostu zniknęłaby?

I wtedy rozumiem, że musiałbym szukać jakiegoś zamiennika, lub pogodzić się z utratą temblaka iluzji, z utratą uzależnienia i możliwości jakiegokolwiek ucieczki.

Jednak na razie nie ma takiej potrzeby. A więc pójdę zaparzyć kolejną filiżankę.

Moja wiara

Nie ma jednej prawdy. Nie ma sprawiedliwych wyznaczników. Twoja prawda – ich szyderstwo. Ich prawda – twoje wzruszanie ramionami.

Trzeba odrzucić chęć posiadania i dominowania. Nie bój się, nie staniesz się przez to pustelnikiem. Anachoretyzm to droga, którą podążają nieliczni. Jednak nawet oni byli ulepieni z krwi i kości. Pomiędzy *mieć* i *być* wybierz *być*. Wybierzesz – odnajdziesz, nie stracisz.

Uwolnij się od balastu pustych rozrywek i despotyzmu egoistycznych pragnień. Wyobraź swoje ciało jako substancję energetyczną, przez które przenika światło. Twoje ciało nie powinno być osadnikiem rozkładu niezdrowej chemicznej żywności – miejscem, gdzie kwitnie trucizna. Pragnienie posiadania dotyczy nie tylko rzeczy materialnych – również doznań ekstremalnych, wiedzy. Nie bądź księgowym, kolekcjonującym zbędną wiedzę. Oczyść siebie z nadmiaru ładunku intelektualnego, a będziesz wolny! Przecież ptak nie posiada wiedzy, a jednak wie wszystko.

Leżysz zrelaksowany, oderwany od śpiesznej metropolii czy zabójczej małowartościowej rutyny. Twoją lewą nogę wypełnia ciepło... więcej... jeszcze więcej... staje się ciężka... jednak ten ciężar nie trzyma... to nie opuchlizna zatknięta trucizną żył... potem prawa noga... potem ręce... nie ma pośpiechu... to, co powinno cię spotkać i tak cię spotka... to, co nie było ci pisane – nie osiągniesz żadnymi zaklęciami... ciało staje się cięższe i lżejsze zarazem... przesywają go energie siły, a nie niemocy... odpoczywasz... osiągasz skrawek wolności, o której marzyłeś chmielnymi wieczorami i razem z rękami, które kiedyś obejmowały cię... dotykasz

spokoju wiecznego, wychodzisz poza pasmo tortur i udręk... powiedz, czy wciąż są ci jeszcze potrzebne idee gromadzenia dla siebie ludzi, rzeczy, wiedzy?..

Idź do ludzi z innymi przekonaniem, z inną energią. Wysłuchaj ich, a i ty będziesz wysłuchany. Bez przesadnej bliskości – to nie twoje pole energetyczne. I bez nadmiernej ostrożności. Przebij swoją skorupę, a zobaczysz nowe horyzonty.

Nie lękaj się swych wrogów. Ciesz się, że ich masz. Bo kto jeszcze pozostaje wobec ciebie tak nieobojętny jak oni? Wrogowie to niedoszli przyjaciele. Coś nie zadziało, nie dopasowało się. Pustkę wypełniła wrogość. A kiedy zdołasz wzbudzić sympatie swych wrogów, opanujesz sztukę życia.

Zastanów się nad własnym życiem. Bez pośpiechu, bo coś przeoczysz, przemilczysz przed samym sobą zdradę własnych przekonań, Praw Współżycia, Boskiej Dialektyki. Nie warto jednak przeciągać tej samoanalizy przez lata – ryzykujesz zatracenie się w szczegółach i sprzecznościach. Nie poradzisz sobie z tym, co leży poza granicami rozumienia zwykłego śmiertelnika.

Oderwij się od własnej neurozy! Odetnij ten kłębek od swojej istoty! To Przeklęty Kłębek! To Kula Trwogi! To nie ty! Nie twoje prawdziwo jestestwo, chociaż mogłoby się wydawać inaczej.

Zacznij medytować:

1. to ty, twoja dusza pogrążona w oceanie wieczności – może napelnia ją ból i gniew, płacz i żal, ale to nie jesteś ty, to tylko twoje projekcje mentalne – niezbędne, żeby się podnieść ponad bachanalie egoistycznego rozumia;
2. maska egocentrycznej bezradności wrosła w ciebie – oderwać ją możesz tylko z krwią – ale maskę tę można, i trzeba oderwać!;
3. jednak na nic tu są;
4. możesz ją rozpuszczać powoli, wywlekać na światło, które potrafi transformować wszelakie negatywne energie, a transmutacje te po raz pierwszy nie będą miały posmaku destrukcji;
5. proces ten może być długotrwały, może prowadzić do regresywnych nawrotów – nie obawiaj się ich! Patrz na tę swoją – wydawało by się niezrozumiałą regresję – szeroko otwartymi i odważnymi oczyma! Niech trwa – ty obserwuj bacznie! Nie potrzeba nic więcej! Tylko – słyszysz? – nie wolno ci odwracać wzrok! Stymulatory i zapomnienie nie ułatwią sprawy – tylko nie odwracaj wzrok;
6. zapewniam cię, ataki będą coraz rzadsze i coraz słabsze, trzeba tylko przetrwać kilka pierwszych!
7. bądź twardy jak granit. Bądź silny – wszystko minie! Tylko wytrwaj.

A jak już popatrzysz na swoje życie oczyma wyrozumiałego obserwatora, bez

ozdobników i samodestrukcji, bez melodramatyzmu i świętoszkowości, będziesz wiedzieć, co zrobić. Staniesz się panem własnego życia, a nie galernikiem z dobrowolnie założonymi kajdankami na rękach.

To właśnie będzie twoje największe zwycięstwo.

Ukochane twarze

1.

Ukochane twarze nie podlegają hierarchizacji. Nie wiem, z jakiego powodu ta czy inna twarz staje się ukochaną. Nie zawsze też rozumiam, dlaczego jedna twarz jest dla nas ukochana aż do ostatniego tchu, zaś inna – tylko do jakiegoś czasu.

Zdarza się i tak, że twarz, kiedyś ukochana, staje się znienawidzoną. Jednak nie to jest najstraszniejsze. Najgorzej jest wtedy, gdy staje się ona obojętną, nienawiść bowiem jest szlachetniejsza od obojętności.

Największego bólu doznajemy, kiedy ukochane twarze odchodzą w niebyt. Czasem zdarzają się tacy, dla których słowa „ukochane twarze” – to pusty dźwięk. I nie trzeba wielkiej mądrości by zrozumieć, że tego typu ludzi należy się wystrzegać, ponieważ noszą oni w sercu ogromny ładunek destrukcji.

Mam szczęście. W życiu miałem i mam nadzieję, że będę jeszcze miał kilka ukochanych twarzy. Żyłem i żyję w odbiciu ich światła.

Niektóre ukochane twarze utraciłem, niekiedy spotykałem nowe. Inne niczym Feniks odradzały się z popiołów dwudziestoletniego zapomnienia. Jeszcze inne przez cały czas oświecały moje życie równym, ciepłym światłem. Niektóre twarze rozbłyskiwały na krótko w neurotycznym szaleństwie tylko po to, żeby zaraz zgasnąć, rozpuścić się w szarej codzienności, zmienić się z ukochanych na zwyczajne.

Najgorszą torturą dla mnie było patrzeć, jak kiedyś ukochana twarz przyjaciela czy przyjaciółki zniknęła w hadesowych ciemnościach obojętności i rozczarowania. Bolesnie było obserwować taką metamorfozę z zimną krwią, a w duszy – oplakiwać, przebaczać i żegnać się na zawsze.

Takie doświadczenia były dla mnie marną śmiercią.

Zdarza się, że od ukochanych twarzy bije miłość zniekształcona nienawiścią. Takie twarze są dekadencją od rozpaczliwej doznawanej w labiryncie błędów i pułapek, w którym blakają się ich dusze. Ukochane twarze mogą być też rozhisteryzowane lub skamieniałe, uroczyście smutne lub beztrojskie, przepiękne lub nawet potworne od cierpienia i bólu. A jednak pozostają dla nas najdroższymi nawet wtedy, kiedy odczuwamy wobec nich spontaniczną nienawiść. Niestety – ukochane twarze nienawidzimy znacznie

częściej niż niekochane lub obojętne. Dwie ukochane dla mnie twarze już porasta czarna, cmentarna trawa zapomnienia. Zapominają ich rówieśnicy, którzy odchodzą i też porastają trawą, zapominają młodszy, stając się zbiorem codziennych spraw i obowiązków. Pozostaje tylko moja pamięć, która zmienia twarze matki i ojca w symbole...

2.

Niestety często ignorujemy lub nie zauważamy, że w naszym życiu pojawiła się ukochana twarz. I zawsze znajdujemy wyjaśnienie swojej ignorancji: spotkałam go kiedyś, był prześladowany, często się oglądał za siebie, zniknął niespodziewanie; wyszłam za mąż za innego, który też mnie kochał; ten prześladowany potem napisał do mnie: „Postąpiła Pani jak świnka”; potem on stał słynnym ogrodnikiem; okazało się, że oglądał się, bo prześladowali go żandarmi; ja byłam młoda, nie rozumiałam tego – potem często o nim pisali; moje życie potoczyło się inaczej, niż bym chciała – zbyt dużo rutyny, zbyt mało światła; po śmierci męża odnalazłam tego ogrodnika; odwiedził mnie, przywiózł winorośl i własnoręcznie posadził w moim ogrodzie; winorośl przyjęła się, lecz nic nie mogło ożywić dawnej miłości; wtedy on był już wdowcem, miał dwóch synów; prawdopodobnie był najlepszym, co mogłoby spotkać mnie w życiu, co mogło przytrafić mi się po latach beztrójskiej młodości; wybrałam jednak inny scenariusz; a potem on umarł; winorośl rozrosła się; umarłam dwa lata później – winorośl wciąż rosła, jak gdyby chciała powiedzieć: popatrz, starowinko, twoje życie z ogrodnikiem mogło być równie piękne i trwałe; jednak te słowa dotarły do mnie, kiedy byłam już po tamtej stronie; patrzyłam z zaświatów na wybujałą winorośl i zastanawiałam się, czy ukochany też ją obserwuje z wieczności, która teraz była i moim domem...

Twarze, które kochamy naprawdę, stają się dla nas ukochanymi na zawsze.

Stepan Prociuk

**Tłumaczenie:
Tatiana Krawczyk**



Rys. Barbara Medajska

Filozofia codzienności (105)



Od tysięcy lat poszczególne kultury koncentrują uwagę na doskonaleniu narzędzi wojny. Wartości wojenne: siła, bezwzględność, sprawność bojowa tkwią ciągle jeszcze w ideologiach narodów, niezależnie od tego, czy zajmują one postawę obronną, czy agresywną. Większość rządów gotowa jest bez zastanowienia zainwestować ogromne środki w nowe rodzaje broni, długo natomiast będzie się zastanawiała nad wydatkami na poprawę życia obywateli i na kulturę.

Istniejemy nie tylko w świecie przyrody i w świecie kultury. Świat ideałów wywiera na nas nie mniejszy wpływ, aczkolwiek nie jest to powszechnie uświadamiane. Głosy wieszczące śmierć ideałów są w takiej samej mierze nieprawdziwe, co szkodliwe. Przyjmując pogląd o subiektywnym istnieniu świata ideałów, trzeba podkreślić, że świadomość silnie oddziałuje na stosunek człowieka do świata przyrody i do świata kultury. Ideały są niezbędne jeśli ludzkość ma się dalej istnieć.

Człowiek początku XXI wieku zdaje sobie wyraźnie sprawę, że nie ma prawd niepodważalnych. Na świadomość wpływa mniej silnie niż kiedyś oddziaływanie tradycji. Pozostawia ślady żywa komunikacja między odległymi zakątkami naszego globu. Wpływa na świadomość również nieznaną dawniej kultura masowa; czyni łatwym i powszechnie dostępnym stykanie się z innymi poglądami niż te utrwalone w danym środowisku.

Mediokracja, czyli dominacja u nas warstw średnich, ludzi przeciętnych, w tym nowej, często niedouczonej i pozbawionej osobistej kultury inteligencji, stanowi poważne zagrożenie z racji uprzywilejowania tego, co nie wyrasta ponad przeciętność. Ludzie przeciętni odznaczają się wygodnictwem, niską uczuciowością i wrażliwością, małą samodzielnością myślenia, podatnością na błędne idee.

Penetrujemy dziedziny i przestrzenie kosmosu dawniej niedostępne poznaniu człowieka – ale nie uporaliśmy się ze sobą i ze stosunkiem do drugiego człowieka. Ten nie rozwiązany problem ma swoją ważność podstawową również i wtedy, gdy podróżujemy na Księżyc. Niezbędna jest przebudowa edukacji – jeśli ma ocalić świat przyrody i świat kultury. Nieodzowne jest zaszczepianie pacyfizmu i empatii. Wielką rolę, wbrew

pozorom, mogliby w zaszczepianiu tej wartości oraz empatycznej postawy odegrać aptekarze, jak również lekarze pierwszego kontaktu. Te dwie grupy zawodowe stykają się z ludźmi rozmaitych środowisk, różnorodnych zawodów – mają więc możliwość kształtowania świadomości społeczeństwa.

Życie człowieka, to wartość niemal powszechnie uznawana za podstawową, wyłączając na przykład terrorystów, czy zwolenników słusznych wojen. Oczywiście jest, że każdy człowiek ma prawo poszukiwać ratunku dla swego zdrowia i starać się przedłużyć życie. Wchodzą tu w grę także tzw. niekonwencjonalne, czyli pozaakademickie, metody leczenia. Jak podkreślał swego czasu profesor medycyny Janusz Jeliśiewicz, nie należy z góry odrzucać teorii z dziedziny parapsychologii, ani też na przykład podważać wartości leków homeopatycznych. Badania nad tymi metodami prowadzi wiele światowych ośrodków badawczych. Zresztą wolność człowieka, w tym pacjenta, wymaga szacunku dla jego decyzji przy wyborze sposobu leczenia. Niejeden z lekarzy stosujących metody konwencjonalne zdaje sobie sprawę, że leczenie pozaakademickie może być skuteczne, jak również że pełniej uwzględni psychikę chorego i jej wpływ na zdrowie.

Profesor Zbigniew Garnuszecki porównywał swego czasu organizm człowieka do wielkiego fortepianu o wielu klawiszach. Uruchomienie jakiegoś klawisza, podobnie jak nakłucie punktu akupunktury, wywołuje reakcję ze strony narządu, na który chcemy oddziaływać. Ale wciąż akupunktura należy do metod leczenia ocenianych jako kontrowersyjne.

Kodeks honorowy aptekarza

W działaniach aptekarzy oraz lekarzy pierwszego kontaktu mogłaby odegrać znaczącą rolę filozofia systemowa, której szerzenia domagał się profesor Julian Aleksandrowicz. Jej punktem wyjścia jest podporządkowanie działań **nie opłacalności**, czyli czynnikom ekonomicznym, **lecz ochronie zdrowia człowieka**.

Gdy przeważa troska o ochronę zdrowia społecznego, homeostaza rodzaju ludzkiego zostaje zachowana. Gdy zaś pojawia się nastawienie na korzyści małej grupy ludzi, zdrowie społeczności świata jest zaburzone i tym samym warunki przetrwania rodzaju ludzkiego co najmniej wątpliwe.

Julian Aleksandrowicz podkreślał trafnie, że każdy powinien pragnąć zrozumieć samego siebie. Niezbędne jest do tego poznanie świata, w którym się żyje. Tworzymy bowiem jedność psychosomatyczną oraz zespoleni jesteśmy jednakowo silnie ze światem biologicznym oraz ze światem społecznym. Już przed laty profesor Julian Aleksandrowicz stwierdzał, że ochrona naturalnego środowiska ma znaczenie jako istotny czynnik profi-

laktyczny. A zasadniczym zadaniem lekarza pierwszego kontaktu i aptekarza powinna być rozbudowana profilaktyka. Nie jest więc przypadkowe, że głosił on pacyfizm, wykazując, że przemysł zbrojeniowy niszczy nieodnawialne zasoby przyrody. W książce „O zdrowiu i chorobie” wyraził przekonanie, że „zdrowy zwłaszcza psychicznie człowiek, zdrowe środowisko i pokój wśród ludzi stanowią parametry decydujące o równowadze homeostatu człowiek – ludzkość, a tym samym o przetrwaniu rodzaju ludzkiego”.

Wiek XXI powinien być czasem przyspieszonego krzewienia idei pacyfistycznych i ekologicznych, jeśli mamy przetrwać. Problem polega nie tyle na ich szerzeniu, co na spowodowaniu, by decydenci respektowali poglądy rzeczoznawców i kosztem ograniczenia zysków wprowadzili restrykcje ratujące i chroniące nasze środowisko przyrodnicze, nas i naszą kulturę.

Nadzieję należy wiązać ze światem ideałów, który stanowi swoiste spoiwo świata kultury i świata przyrody. A więc sprawą nadrzędną powinna stawać się troska o nasycenie świadomości człowieka XXI wieku ideałami ekologicznymi i pacyfistycznymi. Wiąże się z tym dążenie do wszechstronnego rozwoju człowieka; nie tylko intelektualnego. Każdy ma jakiś światopogląd, choćby najbardziej uproszczony i nie zawsze wyraźnie uświadomiony. Zostają w nim skrytalizowane przemyślenia, dążenia i przeżycia człowieka; światopogląd jest funkcją nie tylko rozumu. Należy go określić jako zbiór sądów wypowiadających coś o świecie i norm regulujących postępowanie. Jest to pogląd na świat i życie, oparty wprawdzie na przesłankach naukowych, ale we wnioskach wychodzący dalej. Światopogląd składa się z tez, które nie są empirycznie sprawdzalne, ale i nie są dowolne. O wyborze decydują względy nie tylko racjonalne, ale też emocjonalne. Na wybór ma wpływ środowisko, w tym rodzina, oraz wartości tej kultury, w której przyszło się na świat.

Właściwy każdemu z nas nieco inny rodzaj wrażliwości prowadzi do odmiennego sposobu przeżywania świata i do tworzenia określonego światopoglądu bądź tworzenia oryginalnego. Ważne jest, by światopogląd nie był rezultatem biernego przejścia go od otoczenia, lecz wynikiem osobistych przeżyć i przemyśleń. Z punktu widzenia psychologicznego światopogląd jest pewną złożoną psychiczną strukturą, rezultatem wielu krzyżujących się wpływów i czynników.

Niemożliwe jest ostateczne rozstrzygnięcie sporu wyznawców odmiennych światopoglądów. Światopogląd może dostarczyć mniejszej lub większej pewności, lecz nigdy absolutnej oczywistości.

cdn.

Maria Sajdakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**Widzę problem**

Przy okrągłym stole czasu w *salonie mych myśli*, przy okrągłym stole historii w *salonie mych myśli*, przy okrągłym stole marzeń w *salonie mych myśli*, nikogo nie ma. Nie ma nikogo, tylko pustka. Sama pustka. Pustka kosmiczna. Pustka sceniczna. Pustka personalna. Pustka banalna. A jednak się myślę. Ja widzę pewien problem, który chodzi po stole. Pewien problem, który chodzi po stole w liczbie mnogiej i się uśmiecha zadowolony, że nie jest samotny. Ja też nie jestem samotny w *salonie mych myśli*. Ja też jestem w liczbie mnogiej, jak ten problem.

– Nasz Autor wie, co mówi – odezwał się głos zza pieca. Nasz Autor nigdy nie jest samotny w *salonie mych myśli*, bo my jesteśmy razem z nim.

– To prawda, co mówi głos zza pieca – odezwała się okienna framuga w *salonie mych myśli*. Nigdy nie jest samotny, bo jesteśmy razem z nim. Ja i ten kandelabr nad okrągłym stołem, co wszystko widzi patrząc z góry na cały nasz świat.

– To prawda, co mówi okienna framuga – powiedział swym głosem złocisty kandelabr.

– Tak, tak, tak, tak! Cztery razy tak. To święta prawda, co mówią nasi niezawodni współtwórcy salonu mych myśli: głos zza pieca, okienna framuga i złocisty kandelabr, nie mówiąc o innych. Cztery razy tak – woła wchodząca do salonu mych myśli oczekiwana chwórka gości, którymi są: błękitnooka i złotowłosa Wiosna, piwnooka jak heban czarnowłosa Luna i dwaj panowie, filozof Pan Nietwór i asystent Daniel Spaniel. Zaraz usiądą przy okrągłym stole.

– Czekaście, moi drodzy, a gdzie jest nasz Autor, jakoś go nie widzicie? – pyta szmaragdowym altem zdumiona Luna.

– Jak to, gdzie jest nasz Autor. Zawsze jest

razem z nami. Jest w tobie, jest we mnie, we Wiosnie, w Danielu Spanielu. Zawsze jest razem z nami i z naszym całym światem w *salonie mych myśli* – rzecz wyjaśnia rubinowym barytonem filozof Pan Nietwór.

– Jak mogłam się tak pomylić? Nie zauważyłam tego, że nasz Autor siedzi przy okrągłym stole i czeka na nas. Siadajmy więc do stołu, aby zacząć naszą ucztę, rozpustę słowa, myśli i wyobraźni, dbając o piękny styl – wyraziła swoją samokrytyczną refleksję piwnooka Luna.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Widzę pewien problem, który chodzi po naszym stole w towarzystwie innych problemów. Cały stół jest zajęty. Niczego nie będę mogła nam podać, ani do picia, ani do jedzenia – wyrzuciła z siebie swój głęboki żal bursztynowym głosem Wiosna.

I właśnie w tej chwili odezwał się problem:

*O tobie wiersz napiszę
co mówisz, nie słyszę
nie mówię prawdy na ten temat
przecież cię słyszę – mój poemat
ty jesteś ze mną, ja jestem z tobą
a jedno z nas jest nierobą
pytanie tylko
ty czy ja, ja czy ty
a z wiersza kapią, kapią łzy
przytulmy się do nich naszych ust tęsknotą
niech to się skończy pieszczotą.
Co myślisz o tym filozofie
leżąc na myślach jak na sofie
czy kiedy zaśnieś bądźziesz śnić
że wiersz to złota nić
złota pieszczota, wielka tęsknota
żeby szczęśliwym być.*

– Nie traktujmy tego problemu zbyt poważnie. Najlepiej odłóżmy go na bok – powiedział filozof Pan Nietwór – ten problem, celowo przyjął postać wierszowaną, aby upodobnić się do poety i zastąpić naszego Autora, który przed chwilą wyszedł na taras, aby się nasycić słońcem, balsamicznym powietrzem, zapachem ziół, poezją kwiatów i pięknnością drzew. Aby się nasycić urodą przyrody, pieśnią bez słów. Chciał zastąpić naszego Autora, ale mu się to nie udało. Teraz, gdy stół jest pusty, możemy spokojnie sobie usiąść. Nasz Autor jest z nami. Już wrócił z tarasu, jak złoty promień spełnionych marzeń. A teraz na stół wjedzie pyszna niespodzianka uczyniona dłońmi czarodziej-skiej Wiosny. Ugotowany pyszny młody bób, przyprawiony solą, pieprzem i czosnyczkiem. A do tego będzie podana „benedyktynka”, poetycki utwór nie do czytania, tylko do picia. Bardzo smacznie redagowany przez zakon Ojców Benedyktynów. Wzniesiemy toast na cześć Papieża Franciszka, który kochając ludzi i świat ogłosił swój apel, swą encyklikę w obronie *matki ziemi*, aby jej nie niszczyć, aby o nią dbać dla dobra wszystkich w imię miłości,

w imię rozsądku i dobrego klimatu. W imię miłości przeczytam *Miłość świętego Franciszka* i wzniesiemy toast na cześć papieża, na cześć papieża Franciszka.

I tak też się stało, jak powiedział filozof, Pan Nietwór. Wzniesiliśmy toast benedyktynką na cześć papieża, na cześć papieża Franciszka wzniesiliśmy toast benedyktynką.

P.S.

Miłość świętego Franciszka

*aśloneczną ulicą
korsarze idą tęsknić
wiatr w swoich rękach
dźwiga im okręty
z amoralną dziewczyną
jakiś wielki święty
siedem rekinów głównych
każdy rekin piękny*

*aśloneczną ulicą
korsarze idą do kina
na film pod tytułem
„Bonheur”
jak pomarańcze
rozdaje dziewczyna
piersi swe
rybom na żer
a ten wielki święty wariat
modli się do niej*

*korsarze klaszczą wesolo
w dłonie
wiatr w swoich rękach
dźwiga im okręty
ktoś bardzo mały jest
jak kieliszek
sześć rekinów śniętych
siódmy
wniebowzięty
Franciszek*



Rys. Barbara Medajska

POEZJA

Anna Augustyniak, *Bez ciebie*. Projekt graficzny Andrzej Górecki. Wydawnictwo JEDEN ŚWIAT, Warszawa 2014, s. 46.

Marcin Badura, *Niemcy*. Projekt okładki i opracowanie graficzne Agnieszka Kowalska-Owczarek. *Biblioteka Arterii*, tom 23. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2014, s. 66.

Rafał Derda, *piąte*. Projekt okładki Arkadiusz Łuszczuk. Zdjęcie na iv stronie okładki Marlena Derda. *Seria Wydawnicza Salonu Literackiego*, tom 21. Stowarzyszenie Salon Literacki, Warszawa 2014, s. 54.

Olgerd Dziechciarz, *Przewrócona ósemka*. Zdjęcie na okładce Beata Zawrzel. *Señzpoezja polska*. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2014, s. 54.

Dzikie dzieci. Antologia laureatów konkursu im. Jacka Bierzina. Projekt okładki i opracowanie graficzne Agnieszka Sowala-Kozłowska. Projekt typograficzny Krzysztof Miniak. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2014, s. 180.

Zuzanna Ginczanka, *Wiersze zebrane*. Fotografie pochodzą z zbiorów Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie. Wydawnictwo Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Fundacja Pogranicze, Sejny 2014, s. 514 + fotografie.

Dawid Jung, *Poemat o mówieniu prawdy*. Projekt okładki Dawid Jung. „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2014, s. 46.

Marcin Jurzysta, *Abrakadabra*.

Projekt okładki i opracowanie graficzne Agnieszka Kowalska-Owczarek. Projekt typograficzny Magda Ebert. *Biblioteka Arterii*, tom 22. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2014, s. 50.

Dominika Kaszuba, *domy pasywne*. Projekt okładki Arkadiusz Łuszczuk. Na i stronie okładki wykorzystano pracę Dariusza Klimczaka. Zdjęcie na iv stronie okładki Dawid Majer. *Seria Wydawnicza Salonu Literackiego*, tom 20. Stowarzyszenie Salon Literacki, Warszawa 2014, s. 46.

Izabela Kawczyńska, *Chłopcy dla Hekate. Czterdzieści elegii*. Opracowanie graficzne Paulina Taborska. Ilustracje Karolina Matyjaszkowicz. Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2014, s. 54.

Agnieszka Kubaczyńska, *Wrażliwość*. Projekt okładki i opracowanie graficzne Iwona Kubaczyńska. Warszawa 2015, s. 64.

Samantha Kitsch, *Kolaże kolarzy*. Projekt okładki i opracowanie graficzne Spółdzielnia Inwalidów Fajne Chłopaki. *Seria Białe kruki, czarne owce*, tom 2. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2014, s. 84.

Michał Kozłowski, *Gadane*. Posłowie Stanisław Stabro. Projekt okładki serii Magda Dębicka. *Zdjęcie* na iv stronie okładki Grzegorz Nietupski. *Seria*

Studium Literacko-Artystyczne UJ, tom 9. Księgarnia Akademicka, Kraków 2014, s. 48.

Anna Mochalska, *Syndrom obcej ręki*. Projekt okładki Arkadiusz Łuszczuk. Na i stronie okładki wykorzystano zdjęcie Moniki Ekiert Jezusek Ściany 1/7. Zdjęcie na iv stronie okładki Dorota Ryst. Projekt typograficzny Paweł Podlipniak. *Seria Wydawnicza Salonu Literackiego*, tom 16. Stowarzyszenie Salon Literacki, Warszawa 2014, s. 44.

Eliza Moraczewska, *Chiaroscuro*. Opracowanie graficzne i zdjęcia: Olga Raciborska. Zaułek Wydawniczy *Pomyłka*, Szczecin 2015, s. 78.

Feliks Netz, *Krzyk sowy*. Na IV stronie okładki portret autora Łukasz Borkowski. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 106. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2014, s. 72.

Ewa Elżbieta Nowakowska, *Nareszcie*. Zdjęcie autorki Urszula Nowakowska. Zdjęcie na okładce i w książce Ewa Elżbieta Nowakowska. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. *Seria tablice*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2014, s. 96.

Małgorzata Południak, *Liczby nieparzyste*. Zdjęcie autorki, zdjęcia na okładce i w książce Grzegorz Majchrzak. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. *Seria tablice*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin-Bezrzecze 2014, s. 54.

Paweł Sarna, *Pokój na widoku*. Zdjęcie autora Tomasz Kowalski. Zdjęcia na okładce i w książce, projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. *Seria tablice*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2014, s. 48.

Marcin Sendecki, *Przedmiar robót*. Projekt typograficzny Artur Burszta. *Seria Poezje*, tom 114. Biuro Literackie, Wrocław 2014, s. 36.

Ryszard Smolak, *Ukrzyżowane pejzaże*. Projekt okładki Ryszard Smolak. Fotografia Marta Kubiszyn. Rysunek Zbigniew Pielešek. Norbertinum, Lublin 2014, s. 64.

PROZA

Jamil Ahmad, *Wędrowni sokół*. Przetłoczyła Hanna Pustuła-Lewicka. Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Projekt typograficzny Robert Oleś / chd.pl. Fotografie na okładce Franco Pagetti / vii / Corbis / FotoChannels. Wydawnictwo Czarne, Wolowicz 2015, s. 154.

Adam Wiesław Kulik, *Noc kupalna*. Projekt okładki, rysunki Stanisław Piró. Wydawnictwo Liber Duo, Lublin 2015, s. 120.

Jan Lach, *Chutor nad wiedźmą*. Projekt WGC. *Seria Kapliczka Przydrożna*. Wydawnictwo Grzegorz Czarnecki, 2014, s. 138.

Paweł Orzeł, *Arkusze [„pi”gmalion]*. Zdjęcie autora i obraz na okładce Magda Pietrucha. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. *Seria kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezy, Szczecin-Bezrzecze 2014, s. 40.

Joanna Sendlak, *Szklanka ambrozji*. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2014, s. 332.

Elżbieta Stankiewicz-Daleszyńska, *Widma mijająca i czasu*. Na okładce wykorzystano reprodukcję malarstwa Jana Grzegorzewskiego. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2014, s. 340.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Mieczysław Grydzewski, *Sifoa rerum*. Wybór, opracowanie Jerzy B. Wójcik, Mirosław A. Surpruniuk. Opracowanie graficzne Andrzej Barecki. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2014, s. 850.

Wojciech Kajtoch, *Szkie polonistyczno-rusycystyczne*. Recenzent: Ignacy S. Fiut. Projekt i opracowanie graficzne okładki: Olena Dudała. Na okładce wykorzystano obraz Juliusza Kossaka *Jan Chryzostom Pasek pod Lachowiczami*. Wydawca: Centrum Badań Europy Wschodniej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Olsztyn 2015, s. 188.

Maurice Keen, *Rycerstwo*. Przetłoczył Arkadiusz Bugaj. Projekt graficzny serii Ryszard Świętochowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2014, s. 424, w tym ilustracje.

Jerzy R. Krzyżanowski, *Isć za marzeniem... Opowiadania i eseje krytyczne*. Projekt okładki Paweł Niczyporuk. Norbertinum, Lublin 2014, s. 184.

Jerzy Lengauer, *Niepoprawnie subiektywny dziennik podróży*. Projekt okładki Mamiko. Fotografie Jerzy Lengauer. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2014, s. 136.

Jerzy Limon, *Miot na poetów albo Kromka świętych głów*. Projekt graficzny i typograficzny Stanisław Salij. Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2014, s. 394.

Literatura niewyczerpana. W kręgu mniej znanych twórców polskiej literatury lat 1863-1914. Redakcja Krzysztof Fiołek. Projekt okładki i stron tytułowych Sepielak. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIBERITAS, Kraków 2014, s. 640.

Marian Pankowski, *Lekcje mistrzowskie. Artykuły brukselskie o literaturze*. Wybór, przetłoczył i opracował Tomasz Chomiszczak. Projekt okładki Joanna Szostak, Tomek Mistak. Miejska Biblioteka Publiczna im. Grzegorza z Sanoka w Sanoku, Sanok 2014, s. 148.

Wacław Sadkowski, *Rozdroża miłości Guillaume'a Apollinaire'a (Wilhelma Apolliniego Kostrowickiego)*. *Opowieść epistolograficzna*. Projekt okładki Marta Kwintal. Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2014, s. 382.

DLA DZIECI

Dorota Szumilas, *Szałwia i Mumio ze schroniska Na Paluchu*. Ilustracje: Małgorzata Szewczuk. Fotografie: Marzena Wasilewska, Dorota Szumilas. Opracowanie graficzne: Maciej Penar. Wydawnictwo Armagrab, Krosno 2015, s. 16.

[ad]

„Nie należę do typu ludzi nastawionych bilansowo. 31 grudnia nie czynię postanowień noworocznych, a w urodziny nie oceniam mojego życia. Życie jest polifoniczne – istnieje jego część prywatna i część twórcza. W tych przestrzeniach usiłuję się znaleźć. To zresztą bardziej warstwy niż części. Może dojść do konfliktu między nimi, ale raczej nie w moim przypadku, bo jestem człowiekiem spokojnym, może nawet nudnym – mówi Adam Zagajewski w wywiadzie udzielonym Katarzynie Kubisiowskiej w „Tygodniku Powszechnym”, numer 25/2015.

Gdy ktoś popełnia samobójstwo, to widzi się całe jego życie tylko z tej jednej perspektywy. Patrzymy wtedy na wszystkie rzeczy poprzedzające tę śmierć, jakby zmierzały wyłącznie w jej kierunku. Sam nie wiem, dlaczego o tym mówię – samobójstwa nie planuję. Chodzi mi tylko o to, że koniec naszego życia – jego natury zwykle nie znamy – definiuje nas w sposób poniekąd ostateczny i już poza naszą kontrolą czy wiedzą”. (...)

„Stefan Szymutko pisał, że Śląsk umyka literaturze, wypiera Logos, czyli nie daje się uchwycić. Skoro cały świat jest pokruszony, to może nie warto się upierać przy epopei, która zdiagnozuje nam życie z jego pokrętnymi problemami. Może trzeba się pogodzić, że świat się kręci jak karuzela i uchwycić możemy tylko fragmenty. Także te tkwiące w poezji, którą Śląsk stoi, o czym warto byłoby napisać odrębnie – pisze Marta Fox w „Katowice – stolica kultury”, dodatku do „Gazety Wyborczej”, numer z 13 czerwca 2015 roku.

Na użytek tekstu zrobiłam krótką ankietę wśród facebookowych znajomych, zadając pytanie: Górny Śląsk w literaturze. Z którym pisarzem Ci się kojarzy? W ponad stu odpowiedziach najczęściej pojawiło się nazwisko Gustawa Morcinka, potem Małgorzaty Szejnert, Janoscha i Szczepana Twardocha. Z poetów wymieniono Tadeusza Kijonkę i Rafała Wojaczka. Nikomu nie przyszli na myśl: Wilhelm Szewczyk, Albin Siekierski, Stanisław Horak, Jan Pierzchała. Jaki będzie los pisarzy, o których książkach piszę? Czy to zależy tylko od czytelników? A może także od promocji kultury. Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie przed dwudziestu laty wiersz Piotra Zaczekowskiego »Hamlet na katowickim Rynku«, którym autor wygrał konkurs na wiersz o Katowicach. Nic nie sugeruję, tylko wspominam”. (...)

„Morten Tyldum, reżyser »Gry tajemnic« – filmu przedstawiającego biografię Alana Turinga, jednego z największych umysłów ubiegłego stulecia – stanął przed trudnym zadaniem. Musiał wyeksponować najbardziej „filmowe” aspekty życia brytyjskiego matematyka: złożoną oso-

bowość, doskonale wręcz odpowiadającą stereotypowi uczonego »geeka« i dziwaka mającego problemy z relacjami społecznymi; osobisty dramat człowieka prześladowanego za swą seksualną orientację, ale też opisać pracę nad Wielką Tajemnicą, od której zależał los wojny i życie milionów. W rezultacie powstał obraz w konwencji szpiegowskiego thrillera odegranego przez świetnych aktorów, z Benedictem Cumberbatchem na czele, wspieranym przez piękną Keirę Knightley – pisze Edwin Bendyk w „Polityce”, numer 25/2015.

Nudzić się nie sposób, ale nie sposób też w pełni zaspokoić polskiego widza, który zawsze znajdzie powód do marudzenia. W tym przypadku powodem okazało się, recenzenci policzyli dokładnie, »całe jedno zdanie powtórzone dwukrotnie« o Polakach, którzy pierwsi wyjaśnili tajniki Enigmy, niemieckiej maszyny szyfrującej. To wydaje się zdecydowanie zbyt mało, jak na rzeczywisty wkład polskiego geniuszu w jedno z największych wojennych wyzwań. Zamiast jednak marudzić, lepiej zastanowić się, czy polski wątek jest istotny dla biografii samego Turinga, bohatera opowieści?”. (...)

„Do nakręcenia jego biografii przymierzał się kilkanaście lat temu Andrzej Kotkowski, scenariusz miał pisać Józef Hen, ale zabrakło wsparcia, głównie finansowego. Dopiero sukces rosyjskiego serialu o Annie German usławił decydem, że losy Eugeniusza Bodo to kapitalny materiał filmowy łączący miłosne przygody, przeboje i żarty dawnych kabaretów z koszmarem II wojny oraz sowieckim terrorem. Efekty obecnej pracy ekipy TVP widzowie poznają więc w przyszłym roku – pisze Jacek Marczyński w „PlusMinus”, numer 26/2015.

Gdy ogląda się okładki tygodników sprzed 80 lat, na których Eugeniusz Bodo uśmiecha się w nienaturalny sposób, pokazując dwa rzędy białych zębów, trudno doprawdy uwierzyć, że był kiedyś obiektem westchnień niemal wszystkich Polek. Przymomina podtatusiałego amanta, choć dopiero przekroczył trzydziestkę. Wyglądem odbiega od dzisiejszych kanonów męskiej urody. Nie jest ani typem wiecznego chłopca, ani prawdziwego macho, ale jego kariera może być wciąż wzorem dla tych, którzy marzą o sławie.

Z licznego grona filmowych gwiazdorów, którzy zawiadnęli widownią w dwudziestolecie międzywojennym, tylko on nie popadł w zapomnienie. Dla pokolenia naszych rodziców i dziadków, którzy w czasach PRL pamiętali inną polską rzeczywistość, pozostał idolem. A kiedy w latach 60. i 70. zaczęto przypominać stare filmy z udziałem Eugeniusza Bodo, umocniło to jego legendę. Podobnie jak piosenki, które śpiewał na ekranie, a w naszych czasach przejęli je inni: »Umówiłem się z nią na dziewiątą«, »Baby, ach te baby«, »Seksapil«, »Już taki jestem zimny drań«, »Ach, śpij kochanie« i wiele innych. Zawsze dobiegał je

starannie, nieprzypadkowo do większości filmów z jego udziałem muzykę komponował najpewniejszy w II RP dostawca przebojów – Henryk Wars. Grywał w komediach, w których jako sklepowy sprzedawca udawał dyplomatę (»Jego ekscelencja subiekt«) lub był hrabią przebranym za szofera (»Jaśnie pan szofer«). Miał też w dorobku role dramatyczne, choćby wysoko ocenionego oficera niemieckiej marynarki w »Wietrze od morza« według powieści Stefana Żeromskiego albo komisarza Szczerby w »Bezimiennych bohaterach« o pracy polskiej policji. Do tego filmu sam zresztą napisał scenariusz.

(...)

We Lwowie spotkał przyjaciela, kompozytora Henryka Warsa, który szybko założył zespół estradowy Tea Jazz, a Bodo stał się jego gwiazdą. Jeździli z koncertami po całym Związku Radzieckim – spotykali się z szyskanami, ale mieli pracę i umknęli losu innych Polaków, którzy znaleźli się pod sowiecką okupacją.

W odkryciu tego, co wydarzyło się dalej, nie małą rolę odegrał wnikliwy badacz dziejów polskiego kina Stanisław Janicki. Jeszcze w czasach PRL dotarł do osób, które mogły wiedzieć, co się stało ze słynnym aktorem.

Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej zaskoczył zespół Tea Jazz nad Morzem Czarnym. Wszyscy jego członkowie postanowili jechać w głąb kraju, tylko Eugeniusz Bodo wybrał powrót do Lwowa. Odradzano mu to stanowczo, ale uważał, że będzie bezpieczny. Wtedy przyjaciele dowiedzieli się, że ma szwajcarski paszport.

Nie przypuszczał, że ten dokument, zamiast ułatwić mu wyjazd, okaże się przekleństwem. 26 czerwca 1941 roku z rozkazu NKWD został w Lwowie aresztowany, potem wywieziony na wschód do Ufy, a następnie do więzienia na moskiewskich Butyrkach i poddany przesłuchaniom jak szpieg. Gdy o uwolnienie aktora starali się przedstawiciele polskiej ambasady w Moskwie, usłyszeli od władz sowieckich stwierdzenie, że los obywatela Szwajcarii nie może być przedmiotem takich rozmów. Z tego samego powodu nie objęła go amnestia dla Polaków ogłoszona po podpisaniu porozumienia z rządem gen. Sikorskiego.

Henryk Wars i artyści z Tea Jazzu opuścili Związek Radziecki z armią Andersa. W sprawie oskarżonego o szpiegostwo Eugeniusza Bodo kapitan Galkin wnioskował zaś w listopadzie 1942 roku do kierownictwa NKWD: *jako karę wyznaczyć skierowanie na pięć lat do obozu pracy poprawczej*. Tak też postanowiono, ale do łagru w Kotłasiu w obwodzie archangielskim Bodo trafił dopiero w maju 1943 roku. Dostarczono go chorego i w stanie skrajnego wycieńczenia. Zmarł kilka miesięcy później, 7 października.

W 1991 roku *Żano-Bodo Eugeniusz Bogdan, syn Teodora*, jak figurował w kartotekach NKWD, został przez Federację Rosyjską zrehabilitowany. Archiwum dokumentujące jego śmierć przekazano stronie polskiej dopiero dziewięć lat później”.

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.